WIESZCZ POLSKI Z XVI STULECIA.

W dzień Najświętszéj Panny Gromnicznéj 1584 roku, gwarno i ludno było około kościoła Śgo Jana i Pawła w Wenecji. Uwijały się ozdobne gondole, wysadzając na brzeg poważnych mężów, strojne damy i szlachetnych kawalerów prześwietnéj rzeczypospolitéj. Wszyscy podążali do wnętrza świątyni, gdzie naprzeciw wyniesienia pokrytego wschodnim kobiercem, owinięty wczarny płaszcz jedwabny, po którym spływał łańcuch złoty, wmisterne wyrabiany ogniwa, zasiadł już uczony mistrz Aldo Manucci, w gronie innych mędrców, z odległych stron przybyłych.



„...Wprawił wszystkich w podziw któren w końcu zmienił się w uniesienie.

Szumny i hardy popis pysznego rozumu ludzkiego, zwabił w miejsce uświęcone ofiarą najwyższéj miłości i pokory, cały ten zastęp ciekawych słuchaczów. Program pargaminowy zapowiadał niezwykłą uroczystość, umieszczono na nim pod lwem skrzydlatym, pokrytym wierszami w dziwaczne wzory, łaciński napis w następującéj osnowie: „Na wieczny Stanisława Niegoszewskiego polaka, ku imieniu Wenetów, uszanowania dowód, tudzież na godny znak wzajemnéj z Aldem Manuccim przyjaźni i na pamięć swojéj tu bytności, z przywiązania do nauk, za zdolnego sądem, przez przyjaciół uznany, wszystkie teologiczne twierdzenia i całą Aristotelesową naukę dowodzić przedsiębierze:

1) Z Teologii dogmatycznéj i szkolnéj:

2) Z ogólnéj Aristotelesa filozofji naturalnéj i Boskiéj.

3) Z Matematyki.

Z nauk tych, na wszystkie twierdzenia, odpowiadać będzie wierszem hexametrem i pentametrem. Aby zaś każdy się przekonał jak dalece w pięknych i przedniejszych naukach postąpił, w jakiéj bąć zadanéj sobie materji, prozą lub wierszem, bez przygotowania mówić będzie. Nakoniec w platonicznych liczbach i kabalistycznych marzeniach, podług upodobania czynione zarzuty, zbijać się podejmuje w kościele Śgo Jana i Pawła w Wenecji, dnia 2 Lutego 1584 roku". Niedziw że po takiém ogłoszeniu, uczynioném na kilka miesięcy wprzódy, wszystkie miejsca przeznaczone dla słuchaczów, napełnione były w chwili gdy blady i piękny młodzieniec w bogatym cudzoziemskim stroju, stanął na przygotowaném ku temu wyniesieniu. Niewiele czasu ubiegło, a już wprawił wszystkich w podziw, któren w końcu zmienił się w uniesienie. Bystry rozum poparty obszerną nauką i cudownym darem wymowy, urzeczywistnił świetnie wszystkie zapowiedziane obietnice. Niepodobném było na prędce wyczerpnąć wszystkich zagadnień, rozłożono zatém posiedzenie z początku na dni kilka, późniéj zaś przeciągnięto je do dwóch tygodni, poczem zakończone zostało ze względu na utrudzenie młodego mędrca.

Niezadługo po słynnym swym popisie, Stanisław Niegoszewski wybladły zarówno ciągłą umysłową pracą, jak fizycznem cierpieniem, siedział zamyślony w odludnéj komnacie, gdy oddano mu dwa pisma opatrzone w wielkie pieczęcie. Poznawszy na pierwszéj lwa rzeczypospolitéj weneckiéj, rozłamał ją skwapliwie. Pałający rumieniec oblał mu lica, a wzrok zabłysł chwilowéj dumy uczuciem, gdy wyczytał że senat wenecki, który już przedtém uwieńczył go poetą, przyznaje mu obecnie godność kawalera i szlachcica rzeczypospolitéj. Zerwał się z siedzenia i widocznie rozradowany, jął niezważając na chorobliwe osłabienie, żwawym krokiem chodzić po komnacie. Nagle wzrok jego padł na drugie pismo, z początku spójrzał nań bez myśli, wkrótce jednakże dostrzedz musiał na pieczęci drogie jakieś znamiona, bo zadrżał niby na odgłos dzwięku pieśni z odległéj rodzinnéj ziemi. Rozpoczął znów czytać skwapliwie, a w miejscu wyrazu radośnéj dumy, widać było na obliczu jego rzewne wzruszenie, przycisnął w końcu do piersi list którym Wielki Jan Zamojski wzywał go do Krakowa, obiecując katedrę w Jagiellońskiéj wszechnicy, a spójrzał prawie z pogardą na indygenat cudzoziemskich zaszczytów.

Gdy rozeszła się wieść po Wenecji, że młody wieszcz polski zamierza powrócić do swego kraju, zbiegli się zaraz towarzysze i przyjaciele, usiłując odwieść go od dalekiéj podróży, która nie mogła jak pogorszyć i tak już nadwątlone jego zdrowie. Daremne były jednakże wszystkie przedstawienia Niegoszewski słuchać ich nawet niechciał, uradowany że może służyć ojczyźnie.

Zaledwie stanął w Krakowie, wnet przywołał go do siebie kanclerz, powtarzając swe wezwanie, nie mógł mu już jednakże uczynić zadość młodzieniec, bo początki zabójczéj piersiowéj choroby groźnie rozwijać się weń poczęły. Łudząc się mimo to nadzieją że złe niezadługo przeminie, począł wykończać łacińskie poezje, które wydał wkrótce pod napisem *Epigrammata Joanni Kochanovio*. Choroba jednakże zamiast przemijać, wzmagała się coraz więcéj. Lekarz króla Stefana, radził szukać polepszenia pod łagodniejszém niebem, do Wenecji wabiły poetę wspomnienia świetnych dni sławy, wabiły również wezwania szlachetnych przyjaciół, pośpieszył więc tamże. Czas jakiś jeszcze, był znów podziwem włoskich uczonych; Aldo Manucci mówił głośno: *że niezna równego na ziemi młodemu polskiemu wieszczowi*, senat wenecki okrywszy go zaszczytami, wyznaczył mu nadto znaczną, pieniężną nagrodę za dwa osobliwsze łacińskie wiersze, [1]) raz jeszcze wystąpił w publicznym popisie, lecz był to już niby ostatni odblask zachodzącego słońca, bo wkrótce potém zgasł przedwcześnie dla nauki i sławy. Obdarzony bystrą pamięcią, biegłym był w obcych językach,

[1]) Całą osobliwszą zaletą tych wierszy, ma być to, że można je czytać zarówno od początku do końca, jak od końca do początku, a zawsze jednego znaczenia układają się wyrazy.

oprócz poezji wydanych w Krakowie, pozostało po nim wiele pism ulotnych, w greckim, hebrajskim, arabskim i hiszpańskim języku, gdyby dłuższe życie dozwoliło mu rozwinąć nadzwyczajne zdolności, byłby się stał nie zawodnie chlubą ojczyzny, przekazując swe dzieła odległéj potomności.

A. z Ch. Borkowska.

CZELAKOWSKI FRANCISZEK ŁADYSŁAW.

Jeśli Czecha zapytasz kto był Czelakowski, to ci z równym zapałem udzieli odpowiedź jak Polak, zapytany o Mićkiewicza — nie idzie zatem aby Czelakowski był Mićkiewiczem, ale u Czechów między wszystkiemi poetami ma on największe uznanie i miłość. Dzieje życia pacholęcego i młodzieńczego Czelakowskiego, ani przyjaciołom ani jego rodzinie nie są znane. Urodził się d. 7 Marca 1799 r. w mieście *Strakonicach*, w okresie (okręgu) Strakońskim, w *kraju* (obwodzie) *Piseckim*, w Czechach. (Strakonice sławne są jeszcze łańcuchowym mostem na rzece Wolynce i fabrykami czerwonych welnianych czapek, oraz fezów rozwożonych do południowéj Słowiańszczyzny, do tureckich i afrykańskich krain). Rok urodzenia Czelakowskiego 1794, podany w drugiém wydaniu historyi literatury czeskiéj Jungmana jest mylny.

Ojciec Czelakowskiego niezamożny mieszczanin, wedle jednych miał być cieślą, wedle drugich szewcem.— Z lat dziecięcych Franciszka Czelakowskiego nie wiele wiadomo, — głównie że pierwsze ukształcenie pobierał w szkole, w jego rodzinném miejscu się znajdującéj i że ojciec gwałtem chciał z niego mieć muzyka, przynaglając go do skrzypców, do których on żadnego pociągu nie miał. — Nauki gimnazyalne częścią odbył w Pisku, częścią w Budiejowicach, filozoficzne zaś w Lincu i w Pradze, w którym to czasie połączył się węzłem gorącéj przyjaźni z pokrewnemi sobie duchem: Józefem *Kamarytem* późniéj kapłanem w Taborze i poetą —, *Chmieleńskim* (jednym z pierwszych poetów) i *Winiarzyckim* (także poetą dziś redaktorem dziennika religijnego). — Dwaj pierwsi uprzedzili go w pielgrzymce do nadziemskiéj krainy, Kamaryt w r. 1833, a Chmieleński w r. 1839, których stratę Czelakowski głęboko uczuł. Kiedy i wskutek jakiéj przyczyny Czelakowski skierował się ku idei patryotycznéj niewiadomo, najpewniéj stało się to przez naśladownictwo wymienionych jego przyjaciół. Pierwsze bowiem jego poetyczne i w ogóle literackie prace były pisane po niemiecku, jednak nie stały się one jawnemi, bo Czelakowski spostrzegłszy przyszłą swą drogę jaśniéj oznaczoną, wszystkie swe niemieckie rękopisma spalił.

Krzepki duch jego wciąż pragnął nauki, zdolności znacznie mu ułatwiały te szlachetne chęci, bo przy wszechstronném i klasyczném ukształceniu zdołał nabyć rozległą znajomość nie tylko rzeczy ojczystych i innych słowiańskich, ale nadto wyuczył się języka włoskiego, francuzkiego i angielskiego. Studia lingwistyczne zawsze prowadził z poglądem na słowiańszczyznę, którą ciągle porównywał z obcemi językami, jakoż przygotował 400 wyrazów angielskich jawnego pochodzenia słowiańskiego, lub też domniemanego pokrewieństwa ze słowiańskiemi. W tych studjach już wyraźnie przebija kierunek filologiczny. Skłonność do nauk, gorące przywiązanie do ojczyzny nie pozwoliły mu się zajmować studjami *dla chleba*; Czelakowski całym zapałem swéj duszy młodzieńczym ogniem ożywionéj, wywalczył sobie drogę autorską, nie lękając się przykrości z jakiemi ona bywa złączona. Postanowieniu takiemu wiele pomógł jego nieugięty charakter, żadnych pęt niecierpiący; w samodzielném stanowisku narodowego pisarza Czelakowski szukał owéj swobody, jakąby niewątpliwie przy inném powołaniu musiał był postradać — szukał wolnego pola dla czynów, do jakich czuł w sobie czerstwe siły i pociąg nieprzełamany.

Pierwsze literackie wystąpienie Czelakowskiego przypada na r. 1822 w którym wydał: *baśni a sbirku slovanskijch národnich pisni* (poezye i zbiór słowiańskich narodowych pieśni). Pierwsze te utwory już okazywały młodzieńca twórczym duchem obdarzonego, wyższą nad swój wiek postępującego drogą. W owym zaś czasie ciągłego uganiania się za wzorami niemieckiemi, poezye Czelakowskiego górując tak wewnętrzną głębokością jak i pięknością formy, w pośród owczesnéj wierszorobów powodzi były zwiastunnym objawem. Piękne zwroty językowe i łatwość, stanowią ich też niepoślednią zaletę.

W rok potem wyszły *Listové z dávnověkosti*, przekład Herderowych „Blätter der Vorzeit“ w których Czelakowski okazał się mistrzem prozy, tak jak w swych poezyach stał się panem mowy wiązanéj. Była to wtedy epoka przejścia od form staro-klasycznych do romantyzmu. Pierwsze już nie wystarczały potrzebie czasu i w ostatnich nawet swych przedstawicielach stawały się prawie podobne do mowy ludowéj; — język zaś najcelniejszych ówczesnych pisarzy z małym wyjątkiem daje nam tylko niepewności, właściwe każdéj epoce przejścia. Dopiero zjawia się proza Czelakowskiego, staro - klasyczna dokładność w powabnéj, udoskonalonéj szacie, jako pierwszy klasyczny wzór nowego czeskiego stylu.

W r. 1825 Czelakowski wraz z Chmielą wydał pierwszy czeski almanach pod nazwą *Dennice neb Novoročěnka*. — W r. 1827 wydał zbiór *litevskych národnich pisni*, a potem *Marinkę* przekład dramatu Götego *Die Geschwister*.— W r. 1828 Czelakowski dał sam na sobie przykład stylu epoki o któréj dopiero była mowa. Wydał bowiem tłumaczenie *Panny Jezerni* (the Lady of the Lake) Walter-Scottaw, którém mowę wiązaną oryginału, starał się wynagrodzić gorącą i wysoko-lotną prozą. Tu już nie ma tego stylu gładkiego, przeszłe jego prozaiczne prace cechującego, — jest rzecz całkiem odmienna, lotnością swą nieco nużąca. — Jednak Czelakowski przez swą Panią Jeziora nie zamierzył odstąpić od kierunku, w jakim wtedy za jego przykładem poczęła się kształcić nowo-czeska proza, on tylko pokusił się o stworzenie nowego rodzaju mowy niewiązanéj, pośredniczyć mającéj między zwyczajną prozą a poezyą. Jakkolwiek ten zamiar mu się nieudał, wszelako i tu postąpił sobie Czelakowski mężnie, — wdzierając się śmiało na niedostępne wyżyny. Walter-Scott za przesłany egzemplarz zaszczycił tłumacza własnoręcznym, dziękczynnym listem. Pani Jeziora kończy pierwszy okres literackiego zawodu Czelakowskiego, okres przepowiadający coraz większą jego przyszłość. Na drogę obraną w Pani Jeziora już więcéj nie powrócił.

W téj epoce przez pewien czas zajmował Czelakowski miejsce nauczyciela u *rytirza* (Ritter) Ledovinky z Adlerfelsu.

W roku 1829 wyszedł *Ohlas pisni ruských* (Odgłos pieśni), stanowiący właściwie początek sławy Czelakowskiego, — który zajmował się także rossyjską literaturą, historyą i poezyą. W dziele tém zdołał przejąć się narodowym duchem, idealizując go swą poetyczną twórczością. Oprócz *Slávy dcery*, któréj pierwsze wydanie wyszło w r. 1824 niezjawił się dotąd w nowoczeskiéj literaturze żaden utwór z tak głośném powodzeniem jak wspomniony Ohlas. Imie Czelakowskiego było w ustach wszystkich Czechów, którzy z zapałem i z podziwem przysłuchiwali się czarownym dźwiękom poświęconéj jego liry, a nawet po obczyznach rozbiegły się wieści o czeskim poecie.— Czechowie utrzymują, że gdyby Czelakowski nic więcéj nad wzmiankowany Ohlas nie napisał, jużby i tak był zaliczony u nich do pierwszych poetów.

Po roku sporządził drugie wydanie swych poezyi, poprawne, pisownią składaną z *ou* i *v* i to w czasie trwania największych sporów w tym przedmiocie. Imie Czelakowskiego wtedy już jaśniało między pierwszemi koryfeuszami czeskiemi, ale tymczasem sława nie wystarczała na zaspokojenie materjalnych potrzeb. Ulegając im musiał się poddać pracom powszednim, od jakich w przyjaznych okolicznościach jego duch gorący byłby stronił, — musiał i on pokosztować rzemieślniczéj strony autorskiego zawodu, pod naciskiem któréj tyle marnuje się talentów. W r. 1828 powierzono Czelakowskiemu prowadzenie korrekty *Czaso-*

pisu pro katolické duchovenstwo. Jednocześnie na żądanie arcybiskupskiego konsystorza Prażskiego wziął się do przekładania ksiąg Śgo Augustyna o *městě Božim,* która to praca zajmowała go od roku 1829 do 1833. Przekład ten jest wzorem czystego i ozdobnego czeskiego stylu.

W tym czasie otrzymał Czelakowski od księcia Rudolfa Kińskiego, godnego wspieracza czeskiéj literatury, roczną pomoc 600 zł. vid. Literacka sława Czelakowskiego zwróciła nań uwagę,—rząd rossyjski wzywał go na professora literatury słowiańskiéj. Czelakowski namyślał się, lecz zwyciężyło przywiązanie do ojczyzny, w któréj musiałby opuścić wszystko co mu było drogie i miłe, pozostał więc w Czechach, ciesząc się nadziejami niedalekiéj lepszéj przyszłości. Rzeczywiście poczęły się otwierać lepsze widoki, lecz nowe wypadki znów je na jakiś czas udaremniły.



Czelakowski.

Ówczasowy najwyższy rządca Czech hrabia *Chotek*, czuwający nad każdym wyraźniejszym objawem powierzonego mu kraju, zaczął także bliżéj zajmować się rozkwitującą nowo-czeską literaturą, a jak swą gorliwością wszystko dobre wspierał, tak i w tym kierunku starał się być pomocnym. Zwracając uwagę na niezamożny stan *Prażskych Novin*, postarał się o ich odnowienie i redakcyę Czelakowskiemu powierzył. Jednocześnie *Rozmanitosti* zabawny dodatek Novin, zmieniły się w *Cêskou Vcêlu*, (Czeską pszczołę).

Czelakowski 1834 r. wszedł do redakcyi; około niego zgromadził się mały hufiec współpracowników, złożony z jego osobistych przyjaciół i młodszych czcicieli. Wkrótkim czasie udało się Czelakowskiemu zwiększyć liczbę czytelników Novin i Vcely— na ówczas dość znaczną,— tak, że chociaż przychód nie był zbyt wielki, wystarczał przecież na zaspokojenie redaktora i jednego współpracownika, bo reszta pisała zadarmo. — W tym więc roku Czelakowski mając już dość przyzwoite utrzymanie, pojął za żonę kobietę pięknėm ciele i szlachetnéj duszy.— Marja była rękojmią jego domowego szczęścia. — Na rok przed Pszczołą zaczął wychodzić u Pospisila inny tygodnik: *Lindy a Nyni*, który r. 1834 zmienił się w *Cêské Kvêty*, będące ogniskiem młodych, bujnych sił literackich, pragnących torować sobie drogę nową, samoistną, oryginalną. Przeciwnie w Pszczole, Czelakowski utrzymywał kierunek przyjazny, trzeźwy, starając się o dokładność, kiedy Kwiaty ubiegały się za oryginalnością. — On jako mąż klasycznego smaku, wielką wagę przywiązywał do doskonałości formy, kiedy Kwiaty nie zważając na nią, dążyły do gorszego. — W owym czasie oba te kierunki były potrzebne – bo tu panowała żądza nowości, tam szacunek dla klasycyzmu, — tu bujna

twórczość — tam staranne przysposobienie, — tu powab kwiatu — tam słodycz owocu. Nie ma literatury któraby w czasie swego wzrostu nie ulegała podobnym sporom. Walki takie nie mogą się odbywać łagodnie, — w literaturze czeskiéj byłoby się to załatwiło bez wielkiego zgorszenia, gdyby osobistości przeciw sobie zbyt przykro nie występowały.

W tym czasie rząd powierzył Czelakowskiemu przekład nowo wyszłego *trestniho* (karnego) *zákonu o prestupcich oupadkovych*, dzieła wymagającego ciągłéj pilności, bo termin pracy téj był zakreślony. W pół roku Czelakowski ją ukończył. — Jest to pierwszy porządny przekład praw na język czeski, zrozumialszy od oryginału i dokładnością równający się najnowszym pracom tego rodzaju.

W r. 1835 śmierć *Niejedleho* opróżniła katedrę języka czeskiego w uniwersytecie Prażskim, którą rząd krajowy powierzył Czelakowskiemu z tytułem supplenta.— Katedra ta od wielu lat zaniedbana od razu poczęła się niesłychanie wznosić. Imię Czelakowskiego mnóstwo ściągało słuchaczów na wykład, odznaczający się jasnością i szerokim poglądem. — Inaczéj być nawet nie mogło, — głośne imię Czelakowskiego sprawiło, że wszyscy jego przyjaciele odstąpili od ubiegania się o katedrę. Lecz zdarzył się wypadek, który najpiękniejsze nadzieje wniwecz obrócił, wstrzymując Czelakowskiego nagle w tak szczęśliwie rozpoczętym biegu.Czelakowski jako redaktor Prażskich Nowin, kreśląc ówczasowy stan polityczny wyrażał się za ostro, wskutek czego pociągnięty został przez rząd Austryacki do odpowiedzialności i pozbawiony redaktorstwa, oraz posady profesora. Była to wielka rana nie tylko dla samego Czelakowskiego pozbawionego środków utrzymania i strąconego znowu do dawnego ubóstwa, ale i dla Czech, przez osierocenie dziennika oraz katedry. W krótkim czasie Czeska Pszczoła upadła pod nowym redaktorem Stepankiem, a jako dodatek Prażskich Nowin, wyrodziła się od nadanego jéj kierunku przez Czelakowskiego i Tomiczka. Wkrótce Prażskie Nowiny miały ledwie 200 przedpłacicieli jak przed r. 1834. Katedra zaś czeskiego języka wegetowała pod rozlicznemi prawie obojętnemi następcami.

Nieszczęście jakie Czelakowskiego spotkało, bardzo ducha jego osłabiło, a chociaż urząd bibliotekarza wkrótce mu został powierzony przez wdowę po zmarłym księciu Kińskim, to jednak potrzeby nie były tak zaspokojone, aby Czelakowski wolny od trosków mógł swobodne chwile zajęciom literackim poświęcać.

Literackie zajęcie Czelakowskiego aż do r. 1840 ograniczało się na udziale w kilku czasopismach jak: *Muzejniku, Dennice, Venec* i t. d. Oprócz tego zbierał on materyały do wielkiego uczonego dzieła, do słownika etymologicznego, do czego go najwięcéj Jungmann zachęcał, zajmujący się wydawnictwem swego kolosalnego słownika i brak podobnéj pracy czujący. Przedsięwzięcie to zabierało mu prawie wszystek czas, nocami zaś miasto szukać odpoczynku, tworzył nowe poezye, które w r. 1840 na świat wyszedłszy świeżym blaskiem imię jego otoczyły. Był to *Ohlas pisni ceskych* i *Stolistá ruže*. O ile długo drzémał poetyczny talent Czelakowskiego, o tyle wielki zachwyt spotkał jego płody. Po dziesięciu latach zjawiają się one w zupełnéj poprzedniéj świeżości, z nabytą dojrzałością i siłą do wyższego polotu. Cechuje je głębokie uczucie, piękna forma i obok wdzięku, dziwna prostota, — jak np. *Jizda k milé, Slzy a wzdychání* i wiele innych. W tymże roku wydał Czelakowski zwięzłą *Ceskou dobropisemnost a Kratkou mluvnici* (gramatykę) *nemceckého jazyka*, ostatnie z rozkazu rządu dla użytku szkół.— Dziwne to zespolenie poezyi z grammatykarstwem, lecz poetyczny polot Czelakowskiego, nieopuszczał go ani przy głębokich filologicznych badaniach, — jego żywa wyobraźnia wspomagała go w etymologicznych studjach. — Na dowód uznania jego literackich zasług Towarzystwo naukowe czeskie, mianowało go w tym czasie swym członkiem.

Teraz zachodzi zmiana w życiu Czelakowskiego, zostaje bowiem powołany do Wrocławia, o czem jak równie o siedmioletnim tam jego pobycie udziela wiadomość sławny profesor Dr *J. Purkynie* [1]).

[1]) Zobacz: „Życie i prace Jana Purkiniego“ Warszawa, 1862, str. 114.

Temu to znakomitemu Czechowi należy się część zasługi, za założenie słowiańskich katedr w uniwersytetach Berlińskim i Wrocławskim.— Za Purkyniego to głównie staraniem uniwersytet Wrocławski ukazując nieodzowną potrzebę dla górnego Szlązka, wyrobił sobie katedrę języka *polskiego*, którą po wojnie z r. 1831 na nowo otworzono. Późniejsze starania o utworzenie drugiéj takiejże katedry pozostały bez skutku. Dopiero po objęciu rządów przez niedawno zmarłego króla pruskiego, przedsiewzięte usiłowanie lepiéj się powiodło. W czasie odwiedzin Królewca liczna deputacya Polaków prosiła króla o zachowanie i wsparcie polskiéj narodowości. Król do żądania się przychylił i wkrótce przedsięwzięto plany do założenia żądanych katedr. Rzeczywiście polecono otworzyć jednę katedrę w Berlinie, a drugą we Wrocławiu. Do Berlina powołano Szafarzyka, który tam pojechał na zwiady, a otrzymawszy tymczasem posadę kustosza przy bibliotece uniwersyteckiéj w Pradze, profesorstwa nieprzyjął, naznaczając na swoje miejsce Czelakowskiego. — Jednocześnie fakultet filozoficzny Wrocławski wezwał Dra Purkiniego, aby dla tamecznych katedr nastręczył znanych sobie uczonych Słowian. Purkynie przedstawił dwóch Czechów: *Czelakowskiego* i *Koubka* oraz polaka. *W. Cybulskiego*, znanego Czechom ze swego pobytu w Pradze. — Wskutek tego Czelakowski udał się do Berlina, gdzie po zawiązaniu stosunków na rozkaz ministerstwa objął katedrę Wrocławską, a Cybulski Berlińską [1]).

Czelakowski r. 1842 przybył do Wrocławia pełen najpiękniejszych nadziei. — Pierwszy czas na nowém miejscu poświęcił zawodowi nauczycielskiemu. Wziął się do literatury słowiańskiéj w ogóle, do języka polskiego, oraz do literatury staro-słowiańskiéj. Oprócz tych zajęć mianowano go członkiem komitetu egzaminacyjnego do polszczyzny. Z początku odczyty jego skromnie były uczęszczane, lecz w krótkim czasie sumiennie spełniając obowiązki powszechne zyskał uznanie.

[1]) Profesor W. Cybulski teraz zajmuje katedrę narzeczy słowiańskich w uniwersytecie Wrocławskim.

Czas pozaobowiązkowy spędzał stale i jedynie z profes. Purkynie. Obadwa kolejno dawali tak zwane *niedzielne biesiady*, do których wielu przyjaciół zapraszali. Jeżeli jaki uczony słowianin przejeżdżał przez Wrocław, była to dla nich prawdziwa uroczystość. Tak wspaniale ze szczerą gościnnością przyjęli oni uczonych Bodjańskiego i Srezniewskiego. Nadto Czelakowski zaprzyjaźnił się ze sławnym astronomem *Bogusławskim* potomkiem polskiéj rodziny już zniemczałéj i z profes. filologii *Ambrożym*, synem czeskiego wychodzcy.

Czas wolny od pracy Czelakowski poświęcał na zbieranie dalszych materjałów do zamierzonego słownika etymologicznego, jak równie na gromadzenie przysłów słowiańskich. Z powodu licznych zatrudnień nie mógł myśleć o innych literackich pracach. W ciągłych zajęciach życie płynęło mu spokojnie na łonie domowego szczęścia, bez walki ze zwyczajnemi potrzebami. Jeżeli kiedy przybył do Pragi i do miłych przyjaciół, to tem więcéj cieszył się z chwil wolnych, w których mógł odwiedzić ojczyznę i zostawać w kole pokrewnych sobie umysłów. Wtedy Czelakowski widocznie był szczęśliwy, jego czoło wypogodzone objawiało wewnętrzny spokój, a w kole towarzyskiém bawił niewyczerpanym dowcipem. Był to najpiękniejszy perjod w jego życiu. Lecz błogie szczęście Czelakowskiego nie miało trwać długo, w Kwietniu bowiem 1844 r. stracił kochaną swą żonę. Nagle przecięty został ścisły związek łączący dwie miłujące się dusze, przestało bić jedyne serce, które każdą rozkosz i cierpienie z nim dzieliło, zgasł promień dawnego szczęścia i czworo nieletnich dziatek osierociało. Łatwo pojąć, że to dla Czelakowskiego był cios okropny. Od razu spadła na jego barki massa nieznanych mu dotąd domowych kłopotów, jakiemi wpierw wierna jego żona się zajmowała, a chociaż boleśnie opłakiwał zmarłą i chociaż nie mógł dla drugiéj równą pałać miłością, wszelako wkrótce uczuł potrzebę z każdą chwilą coraz bardziéj naglącą dania opuszczonemu domowi pani, a sierotom pozostałym matki. Lecz nowy związek nie mógł już być następstwem miłości, bo na to ani wiek, ani ważne zajęcia Czelakowskiego nie

pozwalały, głównem zdaniem było pojąć żonę podobnego sposobu myślenia, któraby z szacunku dla męża przyjęła nasię obowiązki gospodyni domu i drugiéj matki. Ograniczone jego rodzinne stosunki nie pozwalały mu robić długiego wyboru, wkrotce też przyjęto jego oświadczyny nie bez wzdragania. Żona przezeń wybrana, była to dziewica pełna uczucia, gorliwa patryotka i czcicielka każdego rodaka, który jak Czelakowski świecił niby jasna gwiazda na widowni czeskiéj literatury. W rok więc po śmierci pierwszéj swéj żony, zawarł drugie małżeńskie śluby z *Antoniną Rejsovą*, przez co wszedł w pokrewieństwo z dawnemi swemi przyjaciołmi D-rem Fryczem i D-rem Stankiem.

Związek ten jednak nie był tak szczęśliwy jak pierwszy. Każde w tém małżeństwie szukało czego innego, Czelakowski pani domu, a żona z dumą podawszy rękę sławnemu mężowi czeskiego narodu goniła za wysokiemi marzeniami. Nadzieje jéj zawiedzione zostały, bo Czelakowski w domowém pożyciu nie był takim, jakim się wydawał w swych poezyach, był sobie zwyczajnie mężem prozaicznym. Do tego przyplątała się choroba, z każdym dniem się powiększająca, która go do grobu wtrąciła, cóż więc dziwnego, że Czelakowski moralnie i fizycznie gnieciony, co dzień w pożyciu stawał się przykrzejszym. Jedyną jego rozrywką w ostatnich latach pobytu we Wrocławiu, były częste wycieczki botaniczne z najstarszym swym synem Ładysławem już w młodzieńcze lata wstępującym. Zamiłowanie to do botaniki było często źródłem poetyckiego zapału. Tak płynęło mu życie jednostajnie aż do r. 1849, wktórym skutkiem zmian politycznych, jednocześnie ze swym przyjacielem Purkynim powołany został do ojczyzny. Oddana mu w Prażskim uniwersytecie niedawno założona katedra słowiańskiéj filologii, którą najprzód zajął był Szafarzyk, wkrótce z powodu choroby przezeń opuszczoną została. Jakoż skoro w Lipcu 1849 r. Czelakowski przybył do Pragi wszyscy znaleźli go niezmiernie zmienionym. Były to objawy choroby trwogą przejmujące przyjaciół cieszących się, że powiew ojczystego powietrza i pobyt wśród osób i miejsc kochanych, upadające jego zdrowie pokrzepi a zasmucony umysł orzeźwi.

W Październiku t. r. rozpoczął swe prelekcje w Uniwersytecie Prażskim. Wykładał porównawczą gramatykę języków słowiańskich, a nadto w oddzielnych godzinach nauczał jéj praktycznie. W tym celu wziął się do wydania chrestomatji słowiańskiéj, która w roku 1850 wyszła jako *Vseslovanskeho pocatecniho cteni* dział pierwszy, gdzie zamieścił przykłady z piśmiennictwa polskiego.

Już we Wrocławiu Czelakowski utworzył sobie oryginalny pogląd na liczne imiona słowiańskie, który zmieniony w ideę ani go w Pradze nieopuszczał. Dnia więc 3 Stycznia 1850 roku filologiczną swą poezyę pod tytułem: „*Odkud berou pocatek pocetni jmena slovanska*“ czytał w sekcji filologicznéj Królewskiego czeskiego Towarzystwa naukowego. Praca ta ogłoszona w Muzejniku, przepełniona jest niezwyczajnym dowcipem lecz zarazem i cierpkiemi wyrażeniami.

Ze wszystkich swych kolegów na fakultecie filozoficznym, który Czelakowskiego w r. 1848 w czasie obchodu 500 letniéj pamiątki założenia Prażskiéj szkoły doktorską godnością zaszczycił, zaprzyjaźnił się z professorem Hanuszem, z którym najczęściéj i najchętniéj przebywał. Przed nim niejednokrotnie się Czelakowski wynurzał, że rok 50ty jego życia zdaje mu się być chwilą w któréj autor powinien przestać zbierać materjały do prac literackich, że ubywa już sił i czasu, że raczéj wypada pomyśleć nad wydaniem swych zbiorów. Dla tego wziął się do ułożenia słowiańskich przysłów, któremi przez ćwierć wieku się zajmował, i jakby na pokaz ogłosił w Muzejniku dowcipny *Kalendar z prislovi slovanskych.*

Tegoż roku Czelakowskiego powołano na sędziego do komitetu rozpoznającego sztuki teatralne, ubiegające się o naznaczoną nagrodę, a zdania jego w téj materji objawione było najlepszym dowodem jego estetycznego ukształcenia i krytycznego sądu.

W tymże czasie ministerjum przeznaczyło go do zgromadzenia gimnazjalnego, słuchającego egzaminów na nauczycieli, w którym to urzędzie celował swą wybitną

świadomością. W czasie kiedy język narodowy po długoletniém zaniedbaniu miał być do szkół wprowadzony, wypadało dla osiągnięcia pożytku, aby sami nauczyciele byli w nim biegli, obeznani z historją i literaturą. Czelakowski mając to na uwadze był ostrym sędzią, bo chciał jak często się wynurzał, aby ludzie niedokładnie obeznani ze swojszczyzną niezabierali miejsca ukształceńszym i zdolniejszym, którzy późniéj mogliby się zgłosić. Surowość tę Czelakowskiego potém ozkrzyczaną, każdy za uzasadnioną poczyta.

Obok tylu zajęć Czelakowski niezmordowanie nad literaturą pracował. Mając polecone przez ministerstwo napisanie dla gimnazjów czeskich, książek do czytania *(citaci knihy)*, podjął się téj pracy nieprzewidując ile w niéj miał ponieść trudów i przykrości. Pracę tę nazywał swą krzyżową drogą, po któréj podróżował aż do grobu, bo na śmiertelném nawet łożu zajmował się przejrzeniem trzeciego jéj wydania. Na owéj krzyżowéj drodze przyszedł do swego nieprawego literackiego dziecka, bezimiennie wyszłego w r. 1851 pod tytułem: „*Maly vybor z veskeré* (z całéj) *literatury ceske.*

Nie będąc zadowolniony z prac komissji wiedeńskiéj dla ułożenia prawnéj terminologii wyznaczonéj, z powodu wielu wyrazów zbytecznie i nie wduchu narodowym utworzonych, ogłosił w r. 1851 w Muzejniku *Slovansa prawnicka prislovi*, którą to pracę uważał za naturalne źródło, służące do poprawy i wydoskonalenia rzeczonéj terminologii.

O jego zamiłowaniu w botanice już wyżéj wspomniano. I w Pradze także nieprzepominał o częstych wycieczkach w celu zwiększenia znacznego swego botanicznego zbioru we Wrocławiu założonego, a jako poecie'i czułemu dziecku przyrody, owo botanizowanie dało pochop do oddzielnego utworu: „*Kretenarskych epigrammuv*“, które w Muzejniku napoczątku roku 1852 ogłosił.

Najważniejszą pracą w ostatnich chwilach życia Czelakowskiego wydaną są: *Dodavky ke slovniku Jos. Jungmanna i Mudroslovi narodu slovanskeho v prislovich.* Ulubioną bowiem myślą Czelakowskiego było wydanie nie tylko czeskiego słownika ale wszesłowiańskiego. Nie ufał jednak sobie, aby dzieło takie mógł sam wykonać, poprzestał tylko na położeniu węgielnego kamienia. Uzbierał w tym celu obfity materjał, który posłużył do wydania wspomnionego dodatku do słownika Jungmana.

Przy wydawaniu Mudroslovi Czelakowski wciągłym sporze zostawał ze swoim przyjacielem profesorem Hanuszem, któremu sposób ogłaszania tego dzieła wydawał się niepraktycznym i który żadną miarą Czelakowskiego uporu nie mógł pokonać. Wolał Czelakowski zmusić go do publicznéj krytyki, która rzeczywiście wyszła w Muzejniku pod nazwą: *Historie prislovnich zbirek slovanskych a zvlast ceskych*, i co dziwna, że Czelakowski uznał błędy swego dzieła i pomyślał o 2giém jego wydaniu, w którém chciał rozebrać różnicę między *uslovim* (idiotismem), *porzekadlem* (przypowieścią) i *przislovim* i zarazem dać zupełną historją zbiorów przysłowiowych, nie tylko słowiańskich lecz w ogóle europejskich. Śmierć przeszkodziła wykonać ten zamiar, lecz profesor Hanusz biorący udział w téj pracy zapewne ją dokończy.

Od dawnego już czasu ciężkie gromy sypały się na Czelakowskiego. Śmierć najmłodszego dziecka a następnie długa choroba żony zupełnie zniweczyły jego domowy spokój. Do tego przyłączały się inne dolegliwości i własna choroba, coraz bardziéj w samém już wejrzeniu Czelakowskiego się objawiająca. Cierpiąc, z każdym dniem obojętniał na świat, stronił od najlepszych swoich przyjaciół zamykając się w sobie; do choroby ciała widocznie łączyła się niemoc ducha. W takim stanie nie mógł mieć chęci do dalszych prac. Ostatniem jego dziełem była druga część *Vseslovanskeho pocatecniho cteni* a ostatnią pracą którą wykończał był przegląd odczytów o literaturze słowiańskiéj, jaki już we Wrocławiu napisał, a obecnie ku pożytkowi uczniów na nowo porządkował. Choroba i tu przeszkodziła, bo ledwie doszedł do ukształcenia słowian w IX i X wieku po Chrystusie.

Tymczasem dnia 2 Kwietnia 1852 roku umarła mu druga żona, a chociaż był przy-

gotowany do tego niecofnionego ciosu, wszelako ostatnia ta rana zupełnie jego ducha złamała. Wkrótce bo 25 Czerwca legł na łożu z którego już więcéj nie miał powstać. Zaleciwszy służącym aby nikomu nie mówili o jego chorobie, nikogo do siebie nie puszczał, lecz sam się leczył wedle recepty z Wrocławia przywiezionéj. To trwało przez tydzień za nim krewni dowiedzieli o jego stanie niebezpiecznym i gwałtem zniewolili go do przyjęcia pomocy lekarskiéj, lecz niestety była ona zapóźna. Ze świadomością o swym stanie Czelakowski poczuł własną winę, a myśl o niezabezpieczonym losie 6ciorga nieletnich dzieci gorzkie mu łzy wyciskała na śmiertelném łożu. Umarł 5 Sierpnia 1852 roku o 6éj godzinie wieczorem, a śmierć zwalniając go od cielesnych i duchowych cierpień, dała możność jego rodakom opłakiwać na grobie jednego z największych czeskich umysłów.

Od pogrzebu Jungmanowego roku 1847 żadnéj trumny tak liczny orszak nieprowadził, jak Czelakowskiego w d. 8 Sierpnia niesiony przez młodszych rodaków aż ku bramie. Za trumną szedł niezliczony zastęp ludzi wszystkich stanów z odkrytemi głowami, co w Czechach jest dowodem niezwyczajnego szacunku. I dziwić to nikogo nie będzie, jeśli sobie przypomniemy że Czelakowski był twórcą pieśni, które dziś w ustach całego kraju żyją. Był on z Czechów pierwszym poetą śpiewającym w duchu czysto-słowiańskim, w roku 1822 ogłosił *„zbiór ludowych pieśni słowiańskich“*, których tom drugi przypisał naszemu niezapomnianemu Kazimierzowi Brodzińskiemu. Językiem władał po mistrzowsku i Czechowie liczą go do pierwszych prozaików oraz krytyków. Z polskich poetów tłumaczył: Adama Gorczyńskiego, S. Szymonowicza, T. K. Węgierskiego, K. Brodzińskiego, A. E. Odyńca i Fr. Morawskiego.

Rocznica śmierci Czelakowskiego stała się świętem narodowém, obchodzoném przez modły i składanie wieńców na grobie poety. W roku zaś bieżącym w samą rocznicę zgonu odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowéj na domku w którym Czelakowski się urodził wedle oddzielnego programu [1]).

Przedstawiwszy szczegółowo historyą życia i prac uwielbionego śpiewaka Czech, pośpieszamy z udzieleniem polskiemu czytelnikowi odpowiedzi, na zapytanie jakieby słusznie mógł uczynić, żądając wykazania owego tajemniczego węzła, który Czelakowskiego na zawsze zespolił z czeskim narodem?

Blizsza znajomość charakteru czeskiego ludu i epoki wktóréj żył Czelakowski niezmiernie objaśnienie to ułatwia. Czelakowski nie napisał żadnego większego utworu, jego Stolista ruże składa się ze stu niby sonetów dwunasto-wierszowych, a inne poezje z krótkich pieśni, tak umiejętnie naśladujących ludowe, które autor mocą swego talentu podniósł do ideału, że odrazu stały się własnością ludu, dla którego były pisane i który ich sobie przyswoił, chętnie je śpiewając od krańca do krańca czeskiéj ziemi. Czelakowski nie posiadał fantazji J. Kolara autora *Córy Sławy*, a jednak stał się popularniejszym, zyskał

[1]) Obchód ten odbył się w Strakonicach rodzinném mieście Czelakowskiego, w takim porządku: Dnia 4, 5, i 6 Sierpnia 1862 r. odbyła się w Strakonicach, na pamiątkę Franciszka - Władysława Czelakowskiego, uroczystość, na którą zgromadziło się mnóstwo gości, a w téj liczbie znaczna ilość duchowieństwa. Towarzystw śpiewaków było dziesięć, a wszystkich ich członków 227. Między innymi byli tam także reprezentanci prazkiego towarzystwa śpiewaków *Hlahol*. Miasto Strakonice przywdziało w Poniedziałek szaty świąteczne. Ulica, gdzie stoi domek, w którym Czelakowski przyszedł na świat, miała u wejścia i wyjścia umajone bramy triumfalne, ze stosownemi napisami, chorągwiami i godłami. Wieczorem miasto było oświetlone, a dźwięki muzyki, salwy z moździerzy i fajerwerki, zapowiadały właściwą na dzień następny uroczystość. We Wtorek to jest dnia 5 Sierpnia w całém mieście nadzwyczajne panowało życie. Przed 10-tą z rana, orszak uroczystujący udał się z ratusza do kościoła. Na czele szła młodzież szkolna z chorągwią, następnie cechy z 8-u chorągwiami, za temi postępowały towarzystwa śpiewaków z 4-a chorągwiami, a wkońcu liczna publiczność, wynosząca około 5,000 osób. W kościele wznosił się wspaniały katafalk, w wieńce zdobny. Po nabożeństwie, orszak udał się przed domek Czelakowskiego, gdzie powitany został serdeczną mową przez Dra Szewczyka, starostę Strakonickiego, na czele rady miejskiéj. Po odśpiewaniu chórału, starosta odsłonił,

najgorętszą sympatę narodu, bo poznał tajemne struny jego serca, w które trafnie zdołał uderzyć. Wiedział że rozmiłowanemu w melodji Czechowi trzeba pieśni, pisał więc pieśni wedle usposobienia ludu to naiwne, to żartobliwe i satyryczne, tak że ów lud widząc odźwierciedlone swe uczucia, pragnienia w pieśni, przyjął je za swoje.

Wystąpienie Czelakowskiego w chwili wktórej miłość ku ojczystéj mowie wracała, było dziełem tylko wyższego natchnionego umysłu i musiało wywrzeć taki czar na krajowców. Kierunek zaś jego talentu i życie pełne poświęceń, więcéj mu jeszcze może przyczyniło się do podbicia rodaków, niż same poezje. W literaturze innego kraju Czelakowski nie mógłby zająć tego stanowiska, jakie zyskał w Czechach. Forma jego pieśni zbliża się bardzo do utworów naszego poety Lenartowicza, w których jednak przebija więcéj tęskne uczucie. Dla dania możności czytelnikowi wyrobienia sobie chociaż cząstkowego sądu przywodzimy piosnkę *z Odgłosu pieśni Czeskich*, tłumaczonego na język polski przez pana Aleksandra *Szukiewicza* jeszcze w roku 1840 [1]). pod tytułem: *Miły nadewszystko*, i drugą w oryginale pod nazwą: *Slzy a wzdychani.*

przy odgłosie trąb i kotłów, tablicę postawioną na domku piewcy *Róży stulistnéj*, i wydał okrzyk *Slava*, potrzykroć przez publiczność z zapałem powtórzony. Tablica ta, z czerwonego marmuru, ma napis złoty: *Zde se narodil, dne 9 brezna* (marca) 1799, *Frantiszek Ladislav Czelakovsky. Jen svorny duch! I velikost da ku mnohosti Buh!* Po odsłonięciu odśpiewano chórał staroczeski: *Modleme se k otci svemu*, poczem p. Liszeticki, prefekt szkoły realnéj w Pisku, miał mowę. Orszak udał się napowrót do ratusza drugą bramą tryumfalną, mającą napis: *Slava pamatce Fr. Lad. Czelakovskeho*, śpiewając po drodze *Kde domov muj* i *Hej Slovane.* Po południu dany był w sali pod „Białą różą" wielki koncert, rozpoczęty prologiem, napisanym przez p. Leszetickiego a odczytanym przez p. Hejduka. Uroczystość zakończoną została we Środę biesiadą, która trwała do samego rana."

[1]) F. Wł. Czelakowskiego *Odgłos pieśni czeskich*, przełożył A. Szukiewicz, wydanie J. E. Purkyniego profesora fizyologii przy Uniwer. Wrocławskim. Wrocław u Fer. Hirta, Praga u Kronbergera r. 1840, str. 112.

Miły nadewszystko.

Co mi tam do świata,
Do świata całego,
Kiedy ja mam sobie
Kochanka wiernego.

Najlepiéj ten leży,
Kto sam sobie ściele:
Czemuż mi bronicie
Kochać przyjaciele!

To nie przyjaciele,
Ale przeniewierce:
Goryczkę mi w duszę,
Piołun sypią w serce.

Pojdę ja na górę,
Popatrzę na strychu,
Jedzie li mój miły
Na wronym koniku.

Jedzie przez gaiczek,
Z krzaków wyskakuje,
Jako kiedy łyska
Pod wodą nurkuje.

Wyjeżdża z wąwozu,
Po ugorze śpieszy,
Prędko przybyć pragnie,
Wie że mię ucieszy.

Chwilkę ja potęsknię,
Pożalę się zgoła,
Z miłym się ucieszę
Znów będę wesoła.

Slzy a wzdychani.

Kdyby wszecky slziczky
Pohromadie byly,
Co jsau, mily pro tebe
Oczi moje lily:
Wieru by se lauky nasze
Wszecky zatopily.

Ach gdyby to wzdychani
Pohromadie bylo,
Co me serdce pro tebe
Mila, wypustilo:
Wieru na wieżi by naszi
Zwony roz z wonilo.

J. F. Nowakowski.



SICIŃSKI

POSEŁ Z UPITY.

LEGENDY ludowe, podały pamięci potomnych w dziwnych opowieściach, postać Sicińskiego, słynnego posła z Upity, który pierwszy użył szkodliwego przywileju *liberum veto*, zrywając obrady sejmowe toczące się w Warszawie w 1652 r. [1]). Nie które z tych podań głoszą: że w dzień pogodny piorun zabił go pod dębem, który dotąd pokazują ciekawym, w miejscu domniemanéj siedziby posła, w Upicie na Żmudzi, inne znów opiewają: że ziemia niechciała przyjąć jego ciała i że ilekroć było pogrzebione, zawsze nazajutrz potem znajdowano je na rozstajnych drogach. Wspominają również, że przez długie lata, w rocznicę dnia w którym Siciński dopuścił się występku przeciw ojczyźnie, złe duchy wyciągały go z grobu i przez noc całą dziwne z nim wyprawiały harce. Ostatnie to podanie, przedstawia właśnie rycina nasza w początkowéj literze L, wyjętéj z polskiego rękopismu z XVIII stulecia, a rysowanéj w Nieświeżkim zamku książąt Radziwiłłów, przez Tymoteusza Niedogodę. Niewiadomo co spowodowało czyn, który tak smutnie upamiętnił imie posła z Upity. Jedni utrzymują że poszedł za zdaniem Krzysztofa Opaleńskiego, wojewody poznańskiego, który w liście do Jana Kazimierza utyskiwał nad rządem „co niszcząc, wolność szlachecką, popychał kraj do zguby“ drudzy że działał z poduszczenia Janusza Radziwiłła, lub że był narzędziem dworu, aby przerwać wnoszoną na sejmie sprawę Radziejowskiego; [1]) dość że zdaje się zawsze jakoby nie z własnego działał natchnienia. Nie mamy żadnych szczegółów o życiu prywatném Sicińskiego, które uwydatnić by nam mogły jego charakter, co zaś do okoliczności zerwania sejmu, to

[1]) Na sejmie tym, zwołanym za nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza, radzić miano między innemi, o sposobie doprowadzenia do końca interesów Kozackich, zerwanie jego dodało otuchy Chmielnickiemu, do wskrzeszenia wojny.

[1]) Hieronim Radziejowski, który poźniéj zdradził ojczyznę łącząc się ze szwedami, pozwany był wtedy o gwałt dokonany pod bokiem króla w Warszawie, gdzie w nocy napadł zbrojno pałac żony, z którą żył w niezgodzie i wywołał krwawą bójkę, w któréj wielu życie postradało. Królowa Marja-Ludwika sprzyjała mu, z powodu że jéj ułatwiał różne sprawy, ztąd domniemanie że Siciński był narzędziem dworu.

tylko wiadomo, że nieznacznie zniknął z posiedzenia i zaraz potém nadeszła wieść tamże, że zaprotestował do akt mówiąc: „iż trzeba mu było izbę dla tego opuścić, że niedozwalają posłom poszukiwać słusznego zdania, materją obrad wyłączają i Rzeczpospolitę gubią, a zatém żąda aby nic niestanowiono“. Dowiedziawszy się o tém, poczęli wszyscy radzić, azali jeden ma prawo zerwania sejmu? Różne były zdania w téj mierze, nim jednakże spory rozstrzygnięte zostały, posłano po Sicińskiego aby go napowrót do izby sprowadzić. Ale Siciński nieczekając dnia następnego, zaraz nocą ujechał z Warszawy. Znów tedy rozpoczęto narady, a że większość była zdania, że przy protestacji jednego drudzy nic stanowić nie mogą, więc powyjeżdżali i drudzy posłowie i sejm zerwanym został. Jeden ze znakomitych historyków naszych tak się wyraża o saméj ustawie *liberum veto* i opostępku Sicińskiego: „sam w sobie postępek Sicińskiego był wypadkiem małéj wagi, ale że dał początek zrywania sejmów, czy to w interesie królów, czy panów, stał się bardzo głośnym, czyli zaś zasługuje aby nań kłaść tak wielką wagę, jak kładą zwykle historycy, to rzecz bardzo wątpliwa. W jędrności bowiem obyczajów, bez zepsucia się Polaków, bez wygórowanego sobkostwa, byłby król mógł z senatem i bez sejmu, rząd jak najlepiéj prowadzić, a nawet rozpisane podatki byłyby się dały powściągnąć, byle tylko na wojnę i rzeczywiste potrzeby. Tak bywało nieraz i dawniéj i dobrze się działo, bo prawość obywatelska była i będzie zawsze głębszą i mocniejszą podstawą państw, niż krój instytucji, niż zachwalony u innych narodów najsztuczniejszy organizm władz i całego rządu. Ale wiek XVII w całéj Europie nienawidził cnoty i w przewrotności nad inne wygórował. Nie *liberum veto*, lubo samo przez się niedorzeczne, ale podłość za nie się kryjąca, która z byle czego umie sobie robić zasłonę, pędziła naród polski wraz z drugiemi, po drogach nieprawości“.

A. z Ch. Borkowska.

KORRESPONDENCJA Z NAD BALTYKU.

Soboty (Zoppot) d. 13 Sierpnia.

Już więc tedy jestem u kresu méj wycieczki i spoglądam z brzegów Pomorza Gdańskiego, na morze po raz pierwszy widziane, tuż obok miasta co kluczem było handlu i żeglugi polskiéj i stoi skamieniałe w średniowiecznéj wspaniałości swojéj, zawieszone pomiędzy falami wód a falami powietrza, wychylając się z mglistych toni smukłemi wieżycami swych świątyń gotyckich, cudne jak fantazja poety, nęcące jak skarbnica wiedzy dziejowéj. Takim mi się przedstawił Gdańsk, gdzie (według słów naszego Acernusa).

..... wielkie czekają spichlerze
Polskiego ziarna, kupcy i probierze
Na moście, który niemcy swoją mową
Zielonym zową.

(Flis).

Gdy się tu d obremi oczyma, lub za pomocą optycznych przyrządów, przyjdzie rozejrzeć z *góry orłów* po powierzchni morza, uciszonego łagodnym stanem powietrza, to widzieć można na prawo od Gdańska, liczne maszty okrętów w porcie stojących i zakończonych wieżą, z któréj latarnia wśród nocnych ciemności błyszczy żeglarzom gwiazdą dobréj otuchy, a na lewo z drugiéj strony, ciemną linją w morze zachodzącą, odznacza się długa półwyspa Hela, co oddziela od Baltyku ową zatokę Pucką, która niegdyś chroniła statki wojenne Jagiellonów i Wazów. Na cóż się przyda, że wam wypowiem moje wrażenia nowicjusza, za pierwszém na morze spójrzeniem, kiedy żaden odpis odczuć ich nieda, kiedy aby je zrozumieć trzeba samemu koniecznie zapuścić wzrok w tę dal mgli-

stą, zaledwie nieco ciemniejszą linją zakreśloną od powietrznych sklepień i koniecznie samemu doznać téj tęsknoty rzewnéj, jaką rodzi w nas nieskończoność. A nic tak jak morze nie budzi o niéj myśli.... Jadąc z Gdańska do zakładu kąpielowego w Sobotach, ujrzałam niespodzianie sylwetkę okrętu narysowaną szaro, wśród obłoków, jak miniaturowy cień jakiegoś oddalonego przedmiotu: „To morze! a więc to morze!, wykrzyknęłam z nieopisaném wzruszeniem domyślając się że ta szeroka przestrzeń mglista i świetlana zarazem, to początek morskich toni. O! dzięki ci błoga nieświadomości, ja nie słyszałam huraganów co wstrząsają oceanami, ja nie znam sławionych błękitów wód śródziemnych i mój pierwszy okrzyk podziwu, który widok morza musi zrodzić w duszy każdego wędrówca, wywołał Baltyk, co przed wieki strząsał swe złociste bursztyny, na lechicką dziedzinę, niby klejnoty srebrzystéj korony, którą wieńczył od północy chlebodajną ziemię. A pierwsze wrażenia to jak uczucia pierwsze, brzmią zawsze w sercu struną najrzewniejszéj harmonji. Zapytacie się: co porabiamy w Sobotach czyli raczéj w Zoppot? [1]) gdyż ta nazwa bardziéj tu utarta. Polaków naliczyłby kilkadziesiąt osób, kobiet wszakże więcéj jak mężczyzn. Koncerta, dwa razy w tydzień, zgromadzają liczne towarzystwo na przechadzkę nadmorską. Stanowi to obraz niezmiernie ożywiony. Niemki strojne w kwiaty, pióra i wszystkie kolory tęczy, chodzą i zapijają kawę. W niedzielę mieszkańcy miejscowi zbiegają się w około ogrodzenia przechadzki i nie zapłaciwszy koniecznych 15 groszy, tak dobrze jak my goście kąpielni, przysłuchują się muzyce, mając jeszcze w dodatku do oglądania różne żywe obrazki z nas ułożone. Za drzewami wązki pas piasku, na którym igrają dzieci (poparte tym razem zasadą hygieniczną przeciw matkom i bonom pilnującym czystości ich sukien), jest niby płowym rąbkiem wśród którego kołysze się morze. I od czasu do czasu, oderwie się jeden i drugi od tych gromad różnobarwnych, porzuci pozornie zajmującą rozmowę, aby pobiegnąć na pomost daleko w wodę wsunięty, rozejrzeć się po téj migotliwéj przestrzeni, co raz ściele mu szmaragdy pod stopy, drugi raz cudnym szafirem oko jego zachwyca, lub też zburzona, poczerniała, gniewna, pluskiem swym, niesie mu do duszy grozy wrażenie. W dali zaś widać ciągnące tym wodnym szlakiem parowce, statki przeróżne, niby światki maleńkie, społeczeństwa złożone z kilkunastu lub kilkudziesięciu osobników, mające swe prawa i obyczaje, silne na pozór tém wszystkiém co potęga umysłu ludzkiego wydać może, a jednak zależne od tych fal płochliwych, które niemi podrzucają z lekceważeniem i tak nikłe w obec tego ogromu, że rzewny jakiś niepokój patrzącego o ich losy ogarnia. Ach! jeżeli kiedy, to w obec obszarów morskich, człowiek czuje się maluczkim stworzenia atomem.

Jest między nami starozakonny z Warszawy z którym tu każdy chętnie przestaje, pomnąc żeby jedność obiecana przed niedawnemi czasy, nie była czczém słowem. Lubo niektórzy gotują u siebie, w ogóle jadamy najwięcéj u wspólnych stołów z obcém towarzystwem, z którém nieraz rozmowa nas połączy. Jeden cudzoziemiec mówił mi tu raz rzeczy, które pominąwszy co najjaskrawszego, powtórzyć wam może nie zawadzi: „Macie to coście sami sobie sprowadzili, (powidział między innemi) boście siebie mieli tylko za ludzi, sami się Panu Bogu przymilali, stawiali kościoły, uposażali duchowieństwo, a lud cały zostawiali bez szkół dobrych, w największéj ciemnocie i poniżeniu, ale widać że Panu Bogu obojętne murowane świątynie i złotem czy perłami szyte ornaty, stan wasz mnie o tém przekonywa; wyście mu zaniedbali wystawić najgodniejszéj Go świątyni, w sercach braci waszych.“

Zapewniłam go że obecnie bardzo gorliwie pracujemy na téj drodze, a on mi zrobił kilka innych uwag, których już wam nie powtórzę, bo byście się na niego zniecierpliwili, ja jednak znalazłam w końcu, że dobry ma wpływ, na nasze zdrowie moralne, usłyszenie tego co drudzy o nas

[1]) Deotyma w swym opisie, drukowanym zeszłego roku w Tygodniku illustr. pięknie opowiada dzieje owéj powabnéj osady, do któréj z Gdańska na zabawę w Soboty jeżdżono i ztąd jéj nazwa, przekształcona zapewne na niemieckie Zoppot.

mówią i myślą, Uczy to pokory i otrzeźwia z upojenia miłości własnéj, w które łatwo wpaść można z osobistego sądząc stanowiska.

Co do usiłowań na drodze oświaty ludu, muszę tu wspomnieć żem w Poznańskiem widziała rzeczy, które mnie żalem przejęły, że w Królestwie Polskiem mniéj dotąd zrobiono. Lud po większéj części umie czytać, co jest kluczem do oświaty, czytuje téż mniéj więcéj pisma dla siebie przeznaczone i dość jasne miewa pojęcia. W kilku miejscach wieśniacy dowiedziawszy się żem z Warszawy, bardzo się ciekawie dopytywali o to i owo i jeżeli nie mogłam podziwiać ze wszystkiem bystrości ich sądu, to przynajmniéj uważać mogłam myśl silnie rozbudzoną. Zwiedziłam dwie szkółki, w których lubo już wakacje zaczęte, wakacje bardzo dla włościan przedłużone, żeby dzieci rodzicom pomagać mogły, zwołano po kilkadziesiąt dzieci i zrobiono na prędce egzamin. Podziwiałam ich wiadomości w historji, jeografji, arytmetyce, a nadewszystko dobry wykład nauczycieli, którzy tu są uzdatnieni, jak mało u nas spotkać się zdarzy w zakładach tego rodzaju. Nie mogę zapewniać, że wszędzie w Poznańskiem szkołki równie troskliwéj od właścicieli ziemskich doznają opieki, jak w Pakosławiu, gdzie ja właśnie byłam, gdyż majętność ta należy do kobiety wielkiego serca, któréj demokratyczne zasady w całéj swéj ewangielicznéj prostocie i szczytności, widoczne z całego jéj postępowania. Nie słyszałam téż z jéj ust żadnéj filantropijnéj deklamacji, z jakiemi to występować potrzebują ci, co modląc się na grubych i licznych książkach za bliźnich, potrącają ich jednak na każdym kroku, nie umiejąc uszanować w maluczkich tego świata, godności człowieka. Inaczéj się ma gdy miłość braci nie jest wyrobioną formułką, lecz z serca płynie. Imię właścicielki Pakosławia, znają liczni rodacy, gdziekolwiek ich losy zagnały. Obok niéj,staje w pamięci ziomków,jéj przyjaciółka Klaudyna Potocka (siostra Tytusa Działyńskiego) piękna dusza wcześnie zeszła z tego świata. W Kurniku widziałam jéj wizerunek, na którym z przeciwnéj strony napisane było ręką gorliwego rzeczy krajowych orędownika: *Moja kochana Klaudyna*. Te wyrazy okazują jak serdeczne porozumienie brata i siostrę jednoczyć musiało. Na wizerunku widać cały wdzięk młodości obok słodyczy i dobroci serca. Ś. p. Klaudyna znaczne dochody swoje oddawała na osłodzenie losu cierpiącym, dla siebie każdy wydatek zdawał jéj się zbytkiem, nie zawahała się przed żadną oszczędnością, z ujmą wygod swoich, byle tylko więcéj dla potrzebniejszych zostało. Słysząc szczegóły o prostocie jéj pokarmów, odzieży, sposobie podróżowania i wspomniawszy potém na przesadne szanowanie swéj wysokiéj godności, naszych uboższych nawet szlachcianek, śmiech pusty bierze z tych niepomiarkowanych pretensji do bezwzględnéj adoracji, z tych ciągłych obaw czy to ujdzie lub nie ujdzie dla szlacheckiego dostojeństwa. Wprawdzie nie ma tu już co długo o tém mówić, bo już zdawna wiadomo kogo najwięcéj napadają te śmieszne zawroty głowy które zwą tonami, a zacne istoty prostotą swego obejścia, ciągle nad tém pracują, żeby prawa konwencyjne coraz mniéj swobodę ludzką pętały i żeby wszystko co uczciwe uchodziło, a skryta nawet nikczemność, wyśledzona i potępiona była.

Między innemi rzeczami, które niedawno jeszcze dla kobiét nie uchodziły, jest podróżowanie pocztowemi pojazdami. Nie dziwię się, że tutaj gdzie karety wygodne, a palenie cygar drukowanym pismem dozwolone, wtedy tylko gdy na nie wszyscy przystaną podróżni, pełno kobiet po drogach się kręci, ale u nas nawet w królestwie, gdzie każdy wié gorzkiém doświadczeniem, że to różnie bywa, kobiety znajdują się często w przeważnéj liczbie w pocztowych pojazdach. Od Kutna do Konina pięć nas kobiet jechało. Moje towarzyszki wesołe i radne, a przyzwoitego ułożenia, nasuwały mi myśl o tych moralistach,co to zapędzają kobiety do kołowrótka, każą im nieopuszczać domowéj strzechy, stawiąc przed oczyma ciche cnoty prababek. Kobiéty najpoddaniéj pochwalają te zdania, ale robią swoje i pełno ich wszędzie. Nie mówię już o takich śmiałkach jak nieprzymierzając ja, co to ich palcem pokazują, dla tego że pozwalają sobie mieć zdania niezależne i nawet je drukować, ale

nawet panny *na wydaniu*, które aby się nie narazić tym co *biorą*, powinny się najbaczniéj przysłuchiwać zkąd wieje wiatr opinji. Bezwątpienia moraliści mają słuszność, ale i prąd życia ma logikę swoją. To co było zawsze pięknie zdaleka wygląda, ale nie zawsze jest do powtórzenia. Jest to chcieć zawrócić wielką rzekę w jéj korycie.

Gdy tedy przyjechałyśmy do powiatowego miasta Konina, była godzina druga po północy i deszcz lał rzęsisty. Kazano nam wysiadać na poczcie; na to z naszéj strony oppozycja: „Niech nas odwiozą do miasta“ prosimy. Przepisy nie dozwalają, odpowiedziano nam. „Ach! panie, wołamy do pocztowego urzędnika, czyż godzi się narażać pięć kobiet, najmniéj na katar lub suchoty, prawa nie przewidziały tak rozpaczliwego wypadku, a kareta do Słupcy musi przez rynek przechodzić, więc niech nas tam wysadzą my zostajemy“. Nie było rady, zrobiono cośmy żądały. Czuję dobrze że ludzie miłujący prawdziwą swobodę, winni praw słuchać, ale tutaj ścisłe zachowanie przepisów, byłoby jedynie barbarzyństwem, tém bardziéj że nikomu niezabierałyśmy miejsca, gdyż jeden tylko podróżny jechał daléj do Słupcy.

Pozostawszy dzień następny u znajomych w Koninie, obejrzałam ten gród starożytny, który Warta oblewa i o którym wiemy, że w nim przebywali czasem królowie i nawet poseł francuzki Montluc, popierający elekcję Henryka Walezjusza. Lecz zdawnego zamku już nic nie zostało, a piękny kościół farny, bardzo starożytny, nie wiadomo kto założył. W nim najwydatniejsze, wspaniałe pomniki grobowe Przyjemskich, których rysunek znajduje się w pamiątkach Wielkopolskich wydanych przez Raczyńskiego. Na cmentarzu przed Farą stoi, przeniesiony z dawnego rynku żydowskiego, pomnik kamienny, o którym twierdzą że go stawiał w pierwszéj połowie XII wieku Piotr Dunin, ów znakomity wielkorządca, czy wojewoda Kalisza i Kruszwicy. Zostawił on tam ślady porządnéj administracji i ten pomnik miał podobno cel, oznaczenia połowy drogi między temi dwoma miastami. Jest on z kamienia ciosowego, okrągły u góry, nieco zaś zwężony u dołu, przy niskiéj czworograniastéj podstawie. Znać na nim ząb czasu, bo powierzchnia głazu podziurkowana jak u gąbki, gdzie niegdzie mech się rozgościł, a napisy lubo starte, tu i owdzie wszakże czytelne, wskazują rok 1151. To téż patrzy się nań z tą zadumą uszanowania pełną, jaką zwykle budzą groby i odległéj starożytności pomniki.

Z Konina udałam się dnia następnego do Lędu, gdzie nad Wartą w powabnéj okolicy leży dawne opactwo Cystersów, w którém obecnie mieszczą się OO. Kapucyni, zowiąc się jego czasowemi stróżami i dla tego w tym jednym kościele wolno im używać za pozwoleniem Papieża, złotych i srebrnych przyborów. Ten bowiem gmach jest błyszcząco ozdobiony, nie tak jak zwykłe kapucyńskie kościoły. Lęd wydzierali sobie kilkakrotnie książęta Kujawscy i Wielkopolscy, lecz kościół fundował Mieczysław stary, książę Wielkopolski; jeszcze w XII wieku, sprowadził Cystersów z Kolonji i bogato ich uposażył dyplomem fundacji wydanym w Gnieznie. W XIII wieku, Bolesław pobożny ks. Kaliski, odebrawszy Lęd Kazimierzowi ks. Kujawskiemu, dał opatowi wolność założenia pod klasztorem miasta i ztąd powstał Lędek, miasteczko o cwierć mili odległe. Kościoł ma wspaniałą fasadę, o dwóch wysokich wieżach, przypominającą bardzo frontową budowę kościoła Jędrzejowskiego, także niegdyś dla Cystersów zbudowanego, tylko świątynia Jędrzejowska jest mniejszą, a w Lędzie opat Łukomski o jedną trzecię kościoł powiększył i wtedy to przeniesiono wielki ołtarz w miejsce drzwi głównych. I tu także, jak w Jędrzejowie, są malowania na murze, tylko wszystkie odświeżone, przy przerobieniu kościoła, przez Łukomskiego. Napis, na marmurowéj tablicy, świadczy że r. 1743 biskup Krzysztof Szembek, konsekrował kościoł odbudowany. Lecz gdy Cystersów skasowano, ta piękna budowla zaczęła chylić się znowu do upadku, cześć więc ówczesnym właścicielom PP. Gutakowskim, że oddali gmachy klasztorne OO Kapucynom, którzy znacznym nakładem, parę kroć sto tysięcy złotych wynoszącym, ze składek i ofiar dobrowolnych uzbieranym, zatarli ślady zniszczenia i kościoł w porządnym utrzymują stanie. Razi tylko buraczkowa farba, na zewnętrzne pomalowa-

nie użyta i więcéj mają piękności poczerniałe starością mury Jędrzejowskie, ale za to wewnątrz kościoł Lędzki bogatszy. Prześliczne rzeźbione z drzewa stale po Cystersach, charakterystyczne obrazy na korytarzach klasztornych na których Adam Swach Franciszkanin z Pyzdr, w początkach ośmnastego stulecia, przedstawił całą świetność dziejów zakonu, papieży, biskupów świętobliwych, których on dał światu, opatów imieniem Ero, zasłuchał się w lesie śpiewu cudownego ptaszka i tak 200 lat pozostał w pół senném zachwyceniu. Na drugim obrazie widzimy go po przebudzeniu, bardzo zdziwionego licznemi w około siebie odmianami. Jemu chwile zachwytu wydały się tak krótką chwilką....

Lecz najciekawszą częścią kościoła jest niewielka kaplica, zdająca się być pierwotnym Mieczysławowskim kościołem, a przy-



Dawne opactwo Cystersów w Lędzie.

znaczniejsze wypadki które się przytrafiły ich założycielowi Bernardowi Śmu i innym braciom. Tu umarłemu zakonnikowi lilja z ust na znak świętości wyrosła, tam Śty Bernard czartowi, który złamał mu koło u wozu, żeby mu przeszkodzić przyjechać na czas na dysputę z różnowiercami, rozkazuje zastąpić zepsute części swą osobą i daléj pojeżdża, mając zamiast szprychów u koła diabelską głowę i ogon. Zajmujące jest podanie z XIII wieku, uwiecznione pędzlem pobożnego mnicha, jak jeden z najmniéj część jego stanowić. Na ścianach wilgotnych herby ziem polskich, a na suficie] malowany sąd ostateczny, rysunkiem pierwsze czasy chrześcijaństwa u nas przypomina. Otóż przed tą niekształtną robotą, pod tém ponurém sklepieniem, z większém upodobaniem zatrzymać się przychodzi, niż przed nowo pozłoconemi sztukaterjami i rzeźbami wspaniałego kościoła. Tutaj dwa lata przemieszkiwał Jarosław Bogorja Skotnicki, arcybiskup Gnieznieński, gdy w bardzo podeszłym wieku zdał rządy dyecezji,

tutaj usiłował przebłagać Boga za grzechy ambicji światowéj, które nim w młodości na drodze wyniesienia kierowały i tu polecił, żeby ciało jego nie przez drzwi do kościoła, ale przez wyłom w murze jako największego grzesznika wniesione było. Lecz tę fanfaronadę pokory, jeżeli się tak wyrazić godzi, spotykamy u wielu mężów pobożnych owych czasów. Znacznie późniéj bo w XVII wieku żyjący, Mikołaj Wolski kazał się pochować pod progiem kościoła, który wystawił Kamedułom na Bielanach krakowskich, żeby po nim jako po największym grzeszniku wszyscy deptali i nie jeden daleko butniejszy od niego możnowładca, takichże pokornych używał wyrażeń w obec śmierci, przekonawszy się że jéj wszystko uledz musi, ale do końca traktował dumnie tych, których sądził niższemi od siebie i nie postarał się bynajmniéj, być pod tym względem mniejszym grzesznikiem.

Arcybiskup Jarosław przeniosł się późniéj do Kalisza, a ciało jego w Gnieznie spoczywa; tu w Lędzie wszakże w murowana na zewnątrz tablica, napisem świadczy o jego pobycie w klasztorze i chrześcijańskich cnotach, oraz daję datę śmierci 1376 roku.

Dawny pałac opacki zostaje dziś po za obrębem murów klasztornych, zaniedbany, ruiną grożący, dający tylko w jedném swojém skrzydle schronienie, jakiejś niezamożnéj rodzinie. Kościoł otoczony cały świeżym wonnym ogródkiem, założonym już przez OO. Kapucynów i starannie przez nich utrzymywanym, ogród klasztorny aż po nad samą Wartę zbiega.

Długo jeszcze widziałam, wznoszące się wieże po nad temi powabnemi płaszczyznami, okrytemi bujną roślinnością. W ogóle w tych stronach uważałam obfite urodzaje, dziękując Bogu, że w tym roku, niedotknie nas przynajmniéj klęska braku chleba powszedniego. Drożyzna mija zwykle zwracając zaledwie uwagę bogatych, ale ubodzy jéj ofiarą padają.

Do Słupcy przyjechałam dość wcześnie, zawsze nieopuszczając brzegów Warty. Miasteczko to było dawniéj murem opasane, ale z niego nie wiele już śladów. Przed kilkoma dopiero laty rozebrano stary drewniany domek, który przytykał do większego budynku, co niegdyś udzielił schronienia przybyłemu tu Karolowi XII. Domek ten z rdzennego sosnowego drzewa, (a nie z modrzewiowego jak podano w Star. Polsce) służył za więzienie Patkulowi, a w jednym balu bocznéj ściany pozostał ślad otworu przez który przeciągnięty był łańcuch więźnia do sypialni króla szwedzkiego. Niedawno Towarzystwo Naukowe Poznańskie, zgłaszało się o nabycie tego przedziurawionego bala, dziś użytego do schodów jakiegoś innego budynku i właściciel byłby go chętnie z warunkiem że mu wstawią inny nowy, ustąpił, lecz ani przedmiot tyle miejsca potrzebujący, ani pamiątka sama, nie wydała się wartująca podobnego zachodu. Wspomnienie bowiem Patkula, z żadnego powodu nie może być dla nas drogiém, a pamięć jego okropnego losu przechował lud, który nie wiedząc kto to był Patkul, łąkę niedaleką ztąd pod Kazimierzem miasteczkiem, gdzie był r. 1707 Patkul z rozkazu króla szwedzkiego kołem połamany i ćwiertowany, jego imieniem nazywa. Mówiono mi że księżna Czartoryska, zbierając pamiątki do swoich Puław, jeszcze przed 1830 rokiem, chciała ów stary domek ze Słupcy nabyć i 500 czy 600 złp. za niego dawała, ale chciwość doradziła ówczesnemu właścicielowi, aby żądać więcéj od bogatéj miłośniczki starodawnych zabytków, jak się zaczął drożyć, tak księżnę odstręczył i domek mu zniszczał do reszty, żadnego zysku nie przynosząc.

Ze Słupcy o piątéj zrana, ruszyliśmy do Strzałkowa, gdzie komora graniczna. Tam już trzeba było dobyć pruskie talary i cały zapas wiadomości niemieckiego języka, gdyż pruscy urzędnicy nie umieją, czy nie chcą mówić po polsku. Zajechały po nas pruskie karety, ciężkie, śmieszne bo całe żółte jak kanarki, ale według sprawiedliwości wyznać trzeba, że wygodne.

D. c. n.

KAROL DICKENS I JEGO POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH.

(Ciąg dalszy).

Wejście sędziego a następnie więźnia wprowadzonego przez stróżów, przerwało rozmowę widzów i wszystkich oczy skierowały się ku jednéj stronie. Przedmiotem ciekawości powszechnéj był młody człowiek, mający około lat dwudziestu pięciu wieku, z czarném okiem i ogorzałą od słońca twarzą. Młodzieniec ten był stanu szlacheckiego, miał suknię czarną długą, a włosy zaczesane na tył i związane; bladość lica, pomimo ogorzałéj cery, świadczyła o wrażeniu duszy, któréj wpływ okazał się silniejszym od słońca, ale zresztą, zdawał się być dość spokojny i ukłonił się poważnie stanąwszy przed sędzią. Ciekawość, z jaką tłum przyglądał się więźniowi, niewypływała wcale z wzniosłego uczucia ludzkości, gdyby bowiem nie groził mu równie straszny wyrok, lub gdyby niespodziewane okoliczności zmniejszyły winę i karę więźnia, w miarę tego straciłby on dużo na uroku, w oczach tego ciekawego tłumu. W każdym razie, jakkolwiek różne uczucia mogły w téj chwili napełniać dusze widzów, ciekawość z którą przypatrywali się więźniowi, niewypływała wcale z szlachetnych pobudek. Widok człowieka którego mieli wkrótce poćwiertować na części, widok nieśmiertelnéj istoty, która miała wkrótce wyzionąć ducha na stosie tortury, oto przyczyna która wabiła oczy tych ludzi.

W téj chwili ozwał się głos nakazujący milczenie:

„Dzisiaj ma być sądzony Karol Darnay, który zaprotestował, wczoraj, przeciwko orzeczeniu sądu, jako jest winny zbrodni stanu. Ów Karol Darnay jest oskarżony o zdradę przeciwko osobie naszego najjaśniejszego, najlepszego króla i pana, a najprzód: że zawiązał spisek wcelu dopomagania Ludwikowi, francuzkiemu królowi, powtóre: że w złych, zdradzieckich zamiarach przebywał we Francji i w naszym kraju, mianowicie: że odkrył nieprzyjacielskiemu rządowi, jaka jest ilość sił zbrojnych, które nasz najlepszy monarcha gotował na wyprawę do Kanady i północnéj Ameryki.“ Tyle dowiedział się Jerry Chruncher i nadto, że więzień oskarżony o zbrodnię stanu, stoi przed nim i że prokurator królewski ma zaraz wytoczyć mu proces.

Oskarżony, który już był powieszony i poćwiertowany w umysłach ogółu, słuchał z powagą i poważnie wytoczonego przeciwko niemu procesu. Ale w téj chwili, z umysłu czy przypadkiem odwrócił więzień głowę na lewo i wzrok jego spotkał dwie osoby, które siedziały na samym rogu, na ławie sędziego. Wszystkie oczy widzów zwróciły się razem z poruszeniem więźnia na lewo. Jedna z dwóch wspomnianych osób, była to młoda pani, mogąca mieć około lat dwudziestu wieku, a drugą był mężczyzna, który był zapewne jéj ojcem. Mężczyzna miał siwą zupełnie głowę i twarz myślącą. Rzecz szczególna, że ze zmianą wyrazu lica mężczyzny, którego nazwaliśmy ojcem téj pani, zmieniała się jego powierzchowność i kiedy w chwili zamyślenia zdawał się już być poważnym starcem, skoro zaczął żywo rozmawiać z córką, jak to miało miejsce w téj chwili, rzekł byś że odmłodniał nagle i że jest jeszcze w całéj sile wieku. Córka trzymała ojca za rękę i tuliła się do niego, jak gdyby z obawy strasznéj sceny, która miała nastąpić wkrótce i z litości nad więźniem; na jéj licu odbiło się uczucie trwogi i politowania zarazem, a tak było silne i wyraźne, że widzowie których nieobchodził wcale los winowajcy, zostali wzruszeni jéj widokiem i pytali się o nią i o jéj ojca dokoła.

Posłaniec Jerry różne także czynił przypuszczenia, a włożywszy palec w usta wyciągnął szyję i nadstawił ucha w nadziei: że może dowie się od kogo, jak się nazy-

wali ci ludzie? a zatem usłyszał ze wszech stron pytania, które jedni drugim zadawali wzajemnie i nareszcie domysły: że to muszą być świadkowie.

— Do któréj należą strony?

— Do przeciwnéj.

— Przeciwko komu mają świadczyć?

— Przeciwko więźniowi.

Sędzia potoczył dumném okiem na około tłumu, potém spojrzał się bystro na więźnia, którego życie zależało teraz zupełnie od jego woli, kiedy pan prokurator generalny powstał w celu zaostrzenia miecza sprawiedliwości nad głową więźnia i przygotowania sznurów i gwoździ do szafotu.

II.

Pan prokurator generalny podniósł głos i objawił, że oskarżony który obecnie stał za kratą, pomimo młodych lat swoich, jest już winnym wielkiéj zbrodni za którą powinien przypłacić życiem; że już oddawna zawiązał więzień stosunki z nieprzyjacielem i że często przejeżdżał się z Francji do Anglji i na powrót, w podejrzanych interesach, z których wytłómaczyć się nie mógł, że gdyby zdrada niezostała szczęśliwym trafem odkrytą, wtedy zbrodnicze jego zamiary mogłyby przyjść do skutku i wiele wyrządzić złego; że jednak Opatrzność natchnęła poczciwą myślą serce zacnego człowieka, który odkrył knowania więźnia i zeznał wszystko przed ministrem sekretarzem stanu i tajnym radcą jego królewskiéj mości. Wspomniony patrjota dobrze zasłużył się ojczyznie i postępek jego jest zacny i wspaniały, bo chociaż był osobistym przyjacielem więźnia, skoro odkrył jego zdradę, postanowił z niego natychmiast zrobić krwawą ofiarę, na świętym ołtarzu ojczyzny. Gdyby w Anglji był zwyczaj stawiania posągów dobroczyńcom kraju, jak niegdyś w staréj Grecji lub w Rzymie, wtedy wspomniony obywatel zasłużyłby sobie na takowy pomnik i szkoda wielka, że ustawy kraju nic nie mówią o tém i że ten znakomity patrjota mieć pewnie pomnika nie będzie. Cnota — mówił daléj pan prokurator, — jak słusznie zauważał poeta, udziela się przez jednego drugim, mianowicie ta świetna cnota, która się zowie miłością kraju, albowiem zacny przykład tego wielkiego patrjoty, wpłynął zbawiennie na sługę więźnia, który powziął święty zamysł przejrzenia papierów swojego pana i w tym celu przepatrzył jego szuflady i kieszenie. Wprawdzie złośliwe o tym słudze biegają wieści, ale on (pan prokurator) kocha go więcéj od swoich siostr i braci i szanuje więcéj niż własnych rodziców. Zeznania dwóch świadków, poparte dowodami, wykazują wyraźnie że więzień posiadał spis siły zbrojnéj jego królewskiéj mości, na lądzie jakotéż na morzu, i że o wszystkiem zawiadomił bezwątpienia nieprzyjaciela.

Tak mówił pan prokurator i zakończył rzecz swoję wnioskiem: że sąd powinien uznać oskarżonego winnym i skazać go na śmierć koniecznie, inaczéj każdy sędzia byłby dręczony wyrzutem sumienia i trwogą, którаby mu niedozwalała w nocy zamrużyć spokojnie powieki, i że dopóki nie odejmą głowy więźniowi, dopóty ani on, (sam pan prokurator) ani żaden z sędziów nie będzie mógł skłonić głowy do poduszki.

Skoro zakończył prokurator generalny, powstał szmer na około więźnia, nakształt brzęczenia owadów, które to szemranie zdało się być przegrywką do mającego wkrótce rozwinąć się dramatu. W téj chwili wzrok widzów skierowany został w inną stronę, gdy wszedł jako świadek ów zacny patrjota nazwiskiem John Barsad. Obrońca generalny rozpoczął badania świadka, z czego okazało się: że pan prokurator nie omylił się w niczém i określił wiernie charakter zacnego patrjoty. Wypowiedziawszy wszystko, a zatém uwolniwszy się od ciężaru, który obarczał jego sumienie, John Barsad chciał się już wydalić z izby sądowéj, ale jegomość w peruce, który tuż siedział obok pana Lorry i miał przed sobą duży stos papierów, powstał i kazał mu się zatrzymać, poczem zadawał mu pytania na które świadek odpowiadał: Czy był szpiegiem? Nie, powiada że gardzi tym rzemiosłem. Z czego się utrzymuje? Ze swego majątku. Gdzie jest jego majątek? Nie pamięta dokładnie gdzie go posiada. Z czego się składa ten majątek? Z téj wiadomości nikomu nic nieprzyjdzie. Czy odziedziczył w spadku? Tak jest. Pokim?

Po dalekich krewnych. Czy siedział kiedy w więzieniu? Pewnie że nie. Czy nie był więziony za długi? Nie widzi żadnego związku z interesem w tém pytaniu. Czy nigdy nie siedział w więzieniu za długi, i jeszcze raz, czy nie? Tak. Wiele razy? Dwa lub trzy razy. Czy tylko nie więcéj, czy nie pięć lub sześć razy? Może. Jakiego jest stanu? Szlacheckiego. Czy nie był kiedy potrącony lub zepchnięty ze schodów? Rozumie się że nie, raz tylko kopnęli go na schodach, a on z umysłu zleciał na dół ze schodów. Kopnęli go zapewne za oszustwo w grze? Pewien zawołany kłamca obwinił go o to, ale to nie było prawdą. Czy utrzymywał się z gry? Tak samo jak inni zacni obywatele. Czy nie pożyczał pieniędzy od więźnia? Czasem. A czy oddawał mu zawsze? Nie. Czy nie świadczył teraz przeciwko więźniowi w nadziei otrzymania jakiéj nagrody za to? Nie. Czy oprócz miłości kraju nie powodowało nim żadne inne uczucie? Nie.

Te zadawał pytania i takie odbierał odpowiedzi obrońca generalny. Następnie wysłuchano zeznań cnotliwego sługi Rogera Clay, który przed czterema laty przystał na służbę do więźnia w Calais i dotąd pozostawał w obowiązkach u niego. Niedawno powziął on podejrzenie względem swego pana i zaczął śledzić jego postępki, poczém wynalazł w kieszeniach jego listę, którą pokazywał więzień francuzkim panom w Calais i Boulogne. To zeznał poczciwy sługa Roger Clay i dodał wkońcu: że kocha swój kraj szczerze i że dla tego nie wachał się odkryć zdradzieckich zamiarów pana.

Brzęczenie znowu dało się słyszeć w tłumie, a obrońca generalny zawezwał pana Jarvis Lorry.

— Panie Jarvis Lorry, jesteś ajentem banku Tellsona?

— Tak jest.

— Czy podróżowałeś pan z Londynu do Douvr pocztą w miesiącu Listopadzie, tysiąc siedmset siedmdziesiątego piątego roku?

— Podróżowałem.

— Czy byli wtedy z panem jacy inni passażerowie w powozie?

— Oprócz mnie, było dwóch jeszcze.

— Spojrzyj się panie Lorry na więźnia i powiedz, czy on nie jest jednym z dwóch towarzyszów twéj podróży?

— Czy tak jest, lub nie, za to ręczyć nie mogę.

— Czy nie podobny do żadnego z nich?

— Noc była ciemna, a przy tém podróżni tak byli poobwijani płaszczami, że nie mogłem przypatrzeć się im wcale.

— Panie Lorry, spojrzyj jeszcze raz na więźnia i powiedz czy nie może być w żadnym razie jednym z tych dwóch podróżnych?

— Niewiem.

— Czy przysiężesz na to że on nie może być jednym z nich?

— Nie.

— Więc przyznajesz nawet że więzień może być jednym z tych dwóch, towarzyszów twojéj podróży z Londynu do Douvr?

— Tak, gdyby nie ta okoliczność tylko że moi towarzysze obawiali się bardzo w nocy rozboju, kiedy tymczasem ten więzień nie zdradza w niczem bojaźni.

— Panie Lorry, spojrzyj się jeszcze raz na więźnia i powiedz czy nigdy nie widziałeś go w twojém życiu?

— Widziałem.

— Kiedy?

— W powrocie z Francji spotkałem się z nim na statku, który odpływał z Calais do Anglji.

— O któréj godzinie on przybył na statku.

— Zaraz po północy.

— Czy tylko on sam jeden przybył tak późno?

— Tak wypadło, że on sam tylko przybył téj nocy.

— Nie mów panie Lorry nigdy że tak wypadło, ale powiedz raczéj że on sam jeden nadszedł tak późno w nocy.

— Tak jest.

— Czy sam jeden lub w towarzystwie podróżowałeś panie Lorry?

— Miałem towarzyszów podróży, tego oto pana i młodą panię, która siedzi obok niego.

— Tak, oni są obecni tutaj. Ale powiedz jeszcze czy rozmawiałeś na statku z więźniem?

— Prawie ani słowa, bo podróż mieliśmy

przykrą i burzliwą i ja przeleżałem cały czas na sofie w kajucie.

— Panno Manette!

Młoda pani na którą zwróciły się w téj chwili oczy tłumu, powstała z siedzenia wraz z ojcem, który ją trzymał pod rękę.

— Panno Manette, przypatrz się więźniowi i powiedz: czy go widziałaś kiedy kolwiek przed tém?

— Widziałam go panie.

— Gdzie?

— Na statku, o którym dopiero mówił pan Lorry.

— Boże, jak jestem nieszczęśliwa!

Wrażenie wywołane litościwym dźwiękiem głosu dziewicy, zagłuszone zostało grubym głosem sędziego, który rzekł wyniośle. — Proszę odpowiadać wprost na zapytanie, bez żadnych uwag.

— Panno Manette czy rozmawiałaś z więźniem wczasie téj podróży?

— Mówiłam panie.

— O czem rozmawiałaś, powiedz nam proszę?

Cisza nastała na około wielka, kiedy panna Manette zaczęła słabym opowiadać głosem:

— Kiedy ten pan przybył na pokład.

— Czy o więźniu chcesz mówić? zapytał marszcząc brwi sędzia.

— Tak, mój panie.

— Więc nie mów pan ale więzień.

— Kiedy więzień przybył na pokład, zauważał że mój ojciec był osłabiony i cierpiący. Wprawdzie i ja znałam dobrze smutny stan zdrowia mojego ojca i obawiałam się przeprowadzić go z pokładu, a więc posłałam mu łóżko blisko schodów wiodących do kajuty i usiadłam obok niego. Więzień był tak dobry, że zasłonił mego ojca od wiatru i przez cały czas podróży opiekował się nim czule. Takim sposobem zbliżyliśmy się do siebie i zawiązaliśmy rozmowę.

— Pozwól mi się zapytać pani, czy więzień sam przybył na pokład?

— Nie.

— Wiele z nim przybyło osób?

— Dwóch francuzów.

— Czy rozmawiali pomiędzy sobą?

— Rozmawiali, dopóki francuzi nie opuścili okrętu i nie wsiedli do łodzi.

— Czy przeglądali papiery podobne do tych, które trzymam w ręku?

— Przeglądali papiery, ale jakie niewiem.

— Czy wcale nie podobne do tych?

— Być może, ale nie ręczę, bo stali w zmroku i mówili po cichu, więc nie słyszałam ani jednego słowa i widziałam tylko że spoglądali na jakieś papiery.

— Teraz opowiedz nam panno Manette, twoją z nim rozmowę.

— Więzień rozmawiał zemną szczerze i był dla mnie i dla mego ojca dobry i nawet bardzo dobry, nie daj więc Boże,— rzekła ze łzami w oczach,— ażebym miała zeznaniem mojém wyrządzić mu jaką krzywdę!

Tu znowu brzęczenie dało się słyszeć pomiędzy tłumem.

— Panno Manette! wątpię bardzo ażeby więzień nie rozumiał tego, że musisz z całą prawdą dać świadectwo, którego od ciebie żądają. Nie ukrywaj więc niczego i kończ opowiadanie.

— Mówił mi więzień że podróżuje w interesach wielkiéj wagi, które gdyby zostały odkryte, mogłby sprawić wiele złego i że dla tego ukrywa się pod przybraném nazwiskiem, nadto, powiedział mi także że z powodu tych interesów musi się przejeżdżać często z Francji do Anglji i na odwrót.

— Czy nie wspominał nic panno Manette o Ameryce?

— Tłomaczył mi jakie są powody wojny w Ameryce, dodając, że całe złe jest na stronie Anglji, mówił mi także że Jerzy Waszyngton może kiedyś zająć kartę w dziejach równie obszerną jak Jerzy IIIci, ale w jego opowiadaniu nie mogło być żadnéj złéj myśli, bo mówił mi to z uśmiechem, jakby tylko dla przepędzenia czasu.

Lice dziewicy wyrażało niespokojność i obawę, w chwili w któréj dawała świadectwo i kiedy sędzia wziął pióro do ręki i zapisywał jéj słowa. Oczy widzów skierowane na pannę Manette, wyrażały także niespokojność, kiedy sędzia przysłuchiwał się z podziwem temu ateuszoskiemu porównaniu, Waszyngtona z Jerzym IIIcim.

Prokurator generalny przypomniał sędziemu, że należy wysłuchać jeszcze zeznań doktora Manette, ale ten odpowiedział stanowczo na dane mu zapytania, że był mo-

cno cierpiący i że nie przypomina sobie wcale, czy ów więzień był lub nie towarzyszem ich podróży.

Pan prokurator generalny usiadł znów na dawném miejscu i kazał zawołać jeszcze innego świadka, który miał zeznać jako więzień posądzony o zbrodnię stanu, znajdował się w portowém mieście, gdzie zasięgał wiadomości o sile miejscowego garnizonu i o stanie floty.

Pan Stryver adwokat więźnia, zaczął indagować świadka. Kiedy ten ostatni zeznawał że widział więźnia w mieście, wtenczas jegomość w peruce zwinął świstek papieru i rzucił go obrońcy. Adwokat przeczytał notatkę którą mu w ten sposób przesłano i spojrzał się ciekawie na więźnia, poczem znów pytał się świadka:

— Czy pewny jesteś żeś widział więźnia, a nie kogo innego?

Świadek odpowiedział że pewny jest jako widział go w rzeczoném mieście, w hotelu, gdzie oczekiwał na przybycie drugiéj osoby.

— Czyś nie widział nigdy nikogo, ktoby był podobny do więźnia?

— Nigdy niewidziałem nikogo tak podobnego, ażebym mógł powątpiewać o tożsamości jego rysów.

— Spojrzyj się więc na tego pana – rzekł, wskazując palcem na człowieka który rzucił kartkę—i powiedz czy nie jest podobny do więźnia?

Jegomość w peruce, Sydney Karton, tak był wrzeczy saméj podobny do więźnia, że łatwo można było zrobić pomyłkę i wziąść jednego za drugiego, cała różnica pomiędzy niemi znajdowała się tylko w wyrazie twarzy; oblicze Kartona miało cechę zużycia, przesytu czy zaniedbania, ale zresztą tożsamość rysów obydwóch była widoczną do zupełnego złudzenia.

Świadek tak był pomięszany z przyczyny tego wypadku, że nie mógł wcale odpowiadać na pytania obrońcy i wyznał że nie ręczy wcale za to, którego z nich widział na on czas w mieście. Sędzia zapytał się pana Stryver czy nie wypadnie teraz sądzić Kartona o zdradę stanu, ale adwokat więźnia odpowiedział, że nie można uznawać winnym człowieka przeciwko któremu niema żadnych przekonywających dowodów.

Następnie wykazał pan Stryver, że patrjota i oskarżyciel nazwiskiem Barsad, był to najęty szpieg, zdrajca i łotr najbezecniejszy, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia, od czasu przeklętego Judasza, że nareszcie cnotliwy sługa Clay, był godnym jego przyjacielem, bo obydwaj sprzysięgli się na zgubę więźnia i popełnili fałsz i krzywoprzysięztwo. Wprawdzie Karol Darnay podróżował często do Francji, bo wygnały go tam interesa familijne, które tak wielkiéj były wagi, że nie mógł odkryć ich nikomu. Co zaś do zeznania młodéj pani, z tego wnosić tylko można że rozmowa jéj z Karolem Darnay, wynikała z grzecznego wzajemnego ich stosunku i że bezwątpienia żadnego innego nie miała celu, a co zaś do porównania Waszyngtona, to takowe tak jest szalone, że nie można uważać go także za nic innego, jak tylko za wyskok żartobliwy młodego człowieka. Zakończył rzecz swoję adwokat odezwą do prokuratora generalnego, jako oskarżenie Karola Darnay nie ma żadnéj prawnéj mocy, albowiem opiera się tylko na zeznaniu fałszywych i podłych świadków, których na nieszczęście kraju, nie mogą się dotychczas pozbyć najwyższe sądy państwa.

W tém miejscu, lord sędzia przerwał mowę obrońcy, mówiąc: że dopóki zasiada na sądowéj ławie, nie zezwala wcale na podobne przystosowania. Tymczasem pan prokurator generalny wystąpił w obronie charakteru Barsada i Claya, dowodząc i zaklinając się, że ci mężowie są tysiąc razy lepszemi niż pan Stryver sądzi; poczem przenicował znów całą sprawę, rozumie się że nie na korzyść więźnia.

Lord sędzia powstał z ławy i zaczął przechadzać się tam i napowrót z założonemi w tył rękami, kiedy szmer pomiędzy tłumem rozszedł się znowu nakształt brzęczenia owadów. Pan Karton nieporuszony ciągle siedział na dawném miejscu, ale pewien rodzaj zaniedbania w całéj jego postawie, dziwnie odbijał przy ożywioném obliczu młodego więźnia i w miarę jak przyglądali się im dłużéj i baczniéj, zaczęli spostrzegać znaczną pomiędzy niemi różnicę. Tu i owdzie dały się już słyszeć uwagi jakoby podobieństwo Kartona do więźnia nie było tak wielkie, jak się z początku wydało. Ale pomimo obojętnéj powierzcho-

wności, Karton był dość uważny i wiedział co się na około niego dzieje. Kiedy panna Manette upadła omdlała pod wpływem wrażeń dnia dzisiejszego, pierwszy Karton zerwał się z siedzenia i zawołał głośno: oficerze, czy nie widzisz że młoda pani zemdlała? idź i dopomóż jéj ojcu wyprowadzić ją z izby sądowéj.

Panna Manette i jéj ojciec skoro tylko wyszli z tych murów, poczuli natychmiast wielką ulgę, bo widok izby sądowéj i więźnia, okropne na nich sprawiał wrażenie. Doktor Manette przypomniał sobie dawne swoje więzienie i przez cały czas pobytu w tém miejscu, doznawał silnego wzruszenia, które zasępiło lice jego chmurą i naznaczyło znów piętnem starości.

Sędziowie nie mogli się zgodzić w zdaniu i wydalili się na stronę, kiedy p. Lorry, który odprowadzał zemdloną pannę Manette powrócił do izby sądowéj, a spostrzegłszy posłańca Jerry, zapowiedział mu żeby zaczekał aż sędziowie ukończą naradę, bo chce wyrok ich przesłać natychmiast, przez niego, do banku Tellsona, uważając go za najlepszego gońca. W téj chwili Karton zbliżył się do pana Lorry, a uderzywszy go po ramieniu zapytał: jak się młoda pani miewa?

— Bardzo jest wzruszona i ojciec pociesza ją jak może, ale odkąd wyszła z tych murów czuje się nierównie lepiéj.

— Więc ja powiem o tém więźniowi, bo tobie panie Lorry, jako ajentowi banku Tellsona, może nie wypada z nim rozmawiać? Lorry zarumienił się mocno, jak gdyby w rzeczy saméj wachał się w duszy zbliżyć do więźnia.

Karton wyszedł za kratę, a stanąwszy nieopodal od oskarżonego zawołał: panie Darnay!

Więzień zbliżył się ku niemu.

— Spodziewam się że rad będziesz dowiedzieć się o stanie zdrowia panny Manette? Otóż wiedz, że daleko lepiéj się już miewa, a w krótce będzie się mieć zupełnie dobrze.

— Przykro mi że stałem się powodem jéj wzruszenia; czybyś pan nie mógł oświadczyć jéj mojéj wdzięczności.

— I owszem, jeżeli tego pragniesz.

— Proszę o to i dziękuję panu.

Powierzchowność Kartona, była w téj chwili jeszcze więcéj nieuprzedzająca niż dawniéj, mówiąc do więźnia, stał on w połowie odwrócony do niego tyłem.

— A co, czy masz nadzieję p. Darnay?

— Spodziewam się wszystkiego co może być najgorszém dla mnie.

— Bardzo mądrze robisz, ale sądzę że wydalenie się sędziów na stronę, powinno wypaść na twoję korzyść.

Upłynęło całe półtory godziny, a tłum ludu zalegał jeszcze podwórze i schody tego domu, oczekując na rozwiązanie dramatu. Dla zaspokojenia głodu czy téż przepędzenia czasu, pożywali tu i owdzie baraninę i pili piwo. Jerry posiliwszy się także, usiadł na schodach i zadrzemał, kiedy nagle pociągnęła go naprzod fala cisnącego się zewsząd ludu.

— Jerry, Jerry! wołał na niego stojący we drzwiach pan Lorry.

— Słucham panie! trudno mi przecisnąć się daléj, ale jestem tutaj.

Pan Lorry podał mu świstek papieru po nad głowami tłumu i zawołał, prędko: Czy już masz papier?

— Mam panie.

Na świstku tego papieru był napisany wyraz: *uwolniony*.

— Gdybyś teraz przesłał odpowiedź „przywrócony do życia“ w tedy zrozumiałbym łatwo, jakie jest tych słów znaczenie. Tymczasem lud cisnął się z tych murów ogromnemi falami i wypłynął na ulicę z głuchym szmerem niezadowolenia, na kształt spłoszonych motylów, które w inną przelatują okolicę, w zamiarze znalezienia tam stosownéj dla siebie strawy.

III.

Była epoka pijaństwa wktóréj wszyscy prawie pili zapamiętale, a tak wielka od tego czasu nastała zmiana, że dziś uważają za bajeczne te podania o ilości wina, jaką mógł w on czas wypić w przeciągu jednéj nocy, każdy porządny szlachcic. Sądownictwo nie ustępowało w tym względzie innym stanom, ani téż adwokat pan Strywer nie odznaczał się mniéj od swoich towarzyszów, kiedy zasiadł bowiem do butelki wraz z sprzymierzeńcem swoim Sydneyem

Kartonem, możnaby było wygodnie wykąpać się w winie, które oni przez jedną noc wypili. To też łączył ich węzeł serdecznéj przyjaźni i czy na sądach czy na jakiéj uczcie nocnéj, zawsze znajdowali się razem, a często powracał Karton z mieszkania swego przyjaciela już dobrze nad ranem, i widzieli go nieraz jak po całonocnéj biesiadzie, przebiegał jak kot chyłkiem do swego domu. Ludzie złośliwi przyrównywali Kartona do szakala i utrzymywali że w tym charakterze służył najpokorniéj adwokatowi, którego lwem nazwali.

Już było po godzinie dziesiątéj z wieczora, kiedy Sydney Karton przyszedł do mieszkania Stryvera.

Adwokat zaprowadził swego sprzymierzeńca i pomocnika do pokoju, w którym ogień palił się na kominie. Pomiędzy stosami papierów był stół okrągły, a na nim butelki stały z winem i wodą, także arak, cukier i cytryna.

— Musiałeś już Sydneyu wypróżnić twoją butelkę, jeżeli się nie mylę.

— O ile pamiętam, dwie już wypróżniłem butelki. Jadłem dziś obiad z naszym klientem, czyli raczéj patrzałem się jak on zajadał, co wyjdzie na jedno.

— Twój pomysł Sydneyu dziś na sądach był wyborny; powiedz mi kiedy i zkąd ci to przyszło do głowy?

— Wiedziałem o tém że on jest piękny i pewnie piękniejszy odemnie, ale wiem i to także że i ja mogłbym być równie przystojny, gdyby mi lepsza przyświecała gwiazda.

Pan Stryver się zaśmiał tak silnie, że szklanki brzękły na stole, poczém zawołał: A! ty z twoją gwiazdą Sydneyu, ot nie próżnuj lep'éj a zabierz się do dzieła.

Sydney rozpiął z wolna swój surdut i poszedł do drugiego pokoju, zkąd powrócił wkrótce niosąc ogromny dzban z wodą, miednicę i dwa ręczniki, potém umaczał dobrze ręcznik w wodzie a położywszy go na głowie, zasiadł za stołem i powiedział:

— Teraz jestem już gotów!

Adwokat podał mu dwa dokumenta a sam wyciągnął się na sofie. Karton zasiadł z drugiéj strony stołu pomiędzy rzędem butelek i szklanek. Obadwaj mieli styczność z tym stołem, ale zachowanie się ich było zupełnie różne.

Pan Stryver trzymał najczęściéj ręce w kieszeniach, to patrzał się na ogień w kominie, to znów przeglądał niektóre papapiery, kiedy Sydney Karton zajęty był pracą i tak się zagłębił w dokumentach, które przed nim leżały, że omackiem wyciągał rękę do szklanki i czasem pare upłynęło minut, zanim natrafił na nią i do ust przyłożył. Tymczasem przedmiot nad którym pracował Sydney tak mu się wydał czasami zawiły, że musiał znów maczać ręczniki i okładać niemi głowę. Kiedy nakoniec ukończył pan Karton pierwszą pracę, podał ją Stryverowi, który przejrzał starannie, zrobił kilka uwag, poczem położył się znów jak pierwéj, włożywszy ręce w kieszenie. Po niejakim przeciągu czasu, Sydney Karton wypracował drugi dokument i podał go adwokatowi.

Kiedy o godzinie w pół do trzeciéj po północy, skończyli prawnicy swoje zadanie, wtedy rzekł Stryver do Sydneya: Dzieło już nasze dokonane; teraz wychylmy jeszcze po czarze ponczu. Karton zdjął mokry ręcznik z głowy, raz jęknął tylko, zresztą zgodził się dość prędko na przełożenie adwokata.

— Miałeś bardzo zdrowe pomysły dzisiaj panie Sydney, podczas tego procesu.

— A czyż nie zawsze zdrowe miewam pomysły?

— Za to nie ręczę. Ale czegóż znów tak posmutniałeś nagle?

— Wiesz co, wypij jeszcze szklanicę ponczu na ten frasunek.

Niby niechętnie i z wymówką, ale przystał na to Sydney i wypróżnił szklanicę.

— Dawny Sydney Karton ze szkoły w Shrewsburgu — rzekł Stryver ruszając głową, — kiedy przypominał sobie dawnego kolegę i porównywał jego przeszłość z obecnością, jak nie stały, jak zmienny jego umysł co chwila, raz ożywiony jak radość, to znów ponury jak rozpacz!

— A! odpowiedział drugi z westchnieniem, tenże sam Sydney i z tąż samą złą gwiazdą na czole, nawet wonczas, odrabiałem ćwiczenia za innych, a rzadko za samego siebie.

— Pytam się dla czego?

— Bóg świadkiem że nie wiem, już chyba takie było moje przeznaczenie.

— Kartonie! rzekł przyjaciel — spójrzawszy się na niego z rozpłomienionéin obliczem i z wyrazem dumy i ufności w samym sobie, - złą i krzywą Sydneyu obrałeś sobie drogę, nie masz wytrwałości ani wytkniętego przed sobą celu, spójrzyj się na mnie!

— O! przyjacielu, nie bądźże znów moralistą, odpowiedział Sydney z wesołym uśmiechem.

— Przypatrz się jak postępuję i jak wyrobiłem sobie stanowisko w świecie, które obecnie posiadam.

— Ja ci pomagam a ty płacisz mi za to, ale nie masz mię za co strofować, bo robisz to tylko co ci potrzeba robić, wszak ty zawsze byłeś z przodu a ja z tyłu za tobą

— Ja wyrobiłem sobie to miejsce, bo przecież nie urodziłem się na przodzie?

— Nie byłem przy akcie twoich urodzin, ale zdaje mi się że tak być musiało a nie inaczéj, rzekł Karton śmiejąc się znowu, a towarzysz jego roześmiał się także.

— Kiedyśmy jeszcze chodzili razem do szkoły i syllabizowali po francuzku, ty już znaczyłeś cóś wtedy, a ja byłem zawsze chudym pachołkiem.

— A czyjaż była w tém wina?

— Ty byłeś winien temu, bo tak rwałeś się do wszystkiego i ubiegałeś się o pierwszeństwo, że dla mnie niepodobieństwem było walczyć z tobą. Ale smutno mówić o przeszłości, kiedy ranek zaczyna już świtać. Zanim ztąd odejdę, zwróćmy rozmowę do innego przedmiotu.

— Niech i tak będzie; wypijmy za zdrowie pięknéj dziewczyny, która stawała dziś w sądzie wgronie świadków, — rzekł Stryver podnosząc szklankę do góry. A co, czy nie do miłego przedmiotu skierowałem rozmowę? Piękna dziewczyna wybąknął Karton patrząc się na szklankę, o jakiéj piękności chcesz mówić?

— Rozumie się że mówię o nadobnéj córce doktora, o pannie Manette.

— Ona tak piękna!

— Czyż nie?

— Nie.

— Cóż znowu pleciesz, czy nie uważałeś że jéj wdzięki oczarowały całą izbę sądową.

— Czy to sędziowie mają być takiemi znawcami piękności? aby ta złotowłosa lalka miała ich oczarować?

— Wiesz Sydneyu, rzekł pan Stryver patrząc bystro na niego,—myślałem że i ciebie także oczarowała, ta złotowłosa jak mówisz lalka, skoro zobaczyłeś najprzód jak zemdlała i kazałeś pośpieszyć jéj z pomocą.

— Jakże mogłem niewidzieć że zemdlała, kiedy to miało miejsce przed moim nosem.

— Ale jeżeli chcesz, wypiję za jéj zdrowie, chociaż protestuję przeciwko piękności. Potém już pić nie będę i pójdę spać natychmiast.

Kiedy gospodarz wyprowadzał Sydneya ze świecą na dół ze schodów, dzień zaczynał już świtać przez szczeliny w okienicach. Skoro wyszedł z domu, owiało go zimne i mgliste powietrze, niebo było pochmurne, woda w rzece ciemna, a cały krajobraz przedstawiał głuchą dziką pustynię. Wiatr zimny poranku podniósł tumany kurzu, który wirował przed nim, jak gdyby piasek pustyni zbliżający się w szalonym tanie ku miastu i grożący mu zagładą. Nieszczęśliwy Sydney, upadły na duchu i na siłach, widział pustynię na około siebie, a na téj puszczy życia, niby w złudzeniu optyczném, powstawały przed nim obrazy szlachetnéj dumy, czystéj i hartownéj woli, a z tego miasta cudownych widzeń wystawały przed nim nadpowietrzne galerje i krużganki, zkąd zdobne cnotą i wdziękami piękności, uśmiechały się do niego, i widział w górze nad sobą zawieszone ogrody, gdzie rozkwitały i dojrzewały bogate owoce życia i gdzie kryształowe wody nadziei iskrzyły się przed jego wzrokiem. Ale tylko jedną chwilę trwało złudzenie i wszystko rozwiało się w okamgnieniu.

Po wysokich i ciemnych schodach wszedł Karton do swego pokoju, poczem rzucił się zaraz na łoże i obfitemi gorącemi łzami zwilżył poduszkę.

Smutnie i bardzo smutnie wschodziło słońce nad głową zdolnego i pełnego zacnych uczuć człowieka, który nie umiał nadać kierunku ani tym zdolnościom, ani szlachetnym popędom serca i czuł straszną niemoc swoję i nie myślał już podnieść się z tego upadku.

IV.

Doktór Manette mieszkał w cichym zakątku na rogu ulicy Soho. Jakkolwiek zdrowie doktora polepszyło się znacznie, umysł jego nie był jednostajnie swobodny, bo często mary przeszłości niepokoiły jego duszę i wtedy w głęboką i ponurą zapadł zadumę. W chwilach smutnego usposobienia, zamykał się pan Manette w swoim pokoju, chodził tam i napowrót, z założonemi rękami i tak znaczną część przepędzał nocy. Córka doktora, Łucja była jego aniołem opiekuńczym, i tą jedyną złotą nicią która łączyła jego przeszłość z teraźniejszością, jakoż ona jedna tylko była wstanie rozpędzić chmury z jego czoła, ale znając smutny stan umysłu ojca, unikała w rozmowie z nim wspomnień z przeszłości, które zawsze źle oddziaływały na jego usposobienie. Narzędzia do robienia butów, znajdowały się dotychczas w mieszkaniu pana Manette, albowiem obawiała się córka usunąć mu zupełnie z przed oczów sprzęty, do których on tak wielką niegdyś przywiązywał wagę. Cały dom doktora składał się tylko z trzech osób, to jest z ojca, z córki i ze służebnéj panny Prosse, która namiętnie była zakochana w swojéj młodéj pani. Ta niemłoda już osoba, przywiązała się do Łucji z całą siłą tego uczucia, co to często łączy ludzi w dojrzałym już wieku z wdzięczną latoroślą, która im drogą wiosnę przypomina życia.

Oprócz chorych którzy pokładali zaufanie w panu Manette, stałemi i częstemi gośćmi byli w jego domu panowie: Karol Darnay, Lorry i Sydney Karton. Pan Lorry tak zaprzyjaźnił się z doktorem, że co niedzielę nawiedzał dom jego i nieraz cały dzień przepędzał na rozmowie z ojcem i z córką. Sydney Karton od czasu oswobodzenia Darnaya zwięzienia, pozyskał sobie przyjaźń i wdzięczność doktora i jego córki i był zawsze wich domu pożądanym gościem; należy nam dodać tylko, że pomimo nałogu, który nim tak przeważnie zawładnął, umiał jeszcze tyle panować nad sobą że w domu doktora zachowywał się poważnie i przyzwoicie i nieokazywał wniczem popędu do dawnych nawyknień.

W niedzielę jak zazwyczaj przybył pan Lorry do domu doktora. Dzień był letni, gorący, a więc po obiedzie zaprojektował pan Manette gościom i córce: czy nie zechcą użyć swieżego powietrza.

Kiedy już zasiedli ojciec z córką i z panem Lorry pod drzewem, nadszedł wkrótce Karol Darnay, a całe towarzystwo mile powitało gościa.

Doktor był dzisiaj w wybornym humorze, uśmiechał się często i zdawało się jakoby odmłodniał znacznie, a kiedy z rozjaśnioną twarzą siedział obok córki położywszy rękę na poręczy krzesła, gdy tymczasem Łucja oparła głowę na jego ramieniu, wtedy podobieństwo ojca do córki zwracało uwagę obecnych. Przez cały czas pobytu pana Lorry, rozmawiał z nim doktor bardzo żywo i o różnych przedmiotach. Skoro Karol zasiadł obok nich pod drzewem i usłyszał że rozprawiają o starych gmachach w Londynie, zagadnął doktora czy zna dobrze wnętrza Towru.

— Byłem w nim raz przypadkowo z Łucją, ale tyle widziałem ciekawych rzeczy że więcéj poznawać go nie pragnę.

— Jak pan wiesz i ja tam byłem także,— rzekł Darnay czerwieniąc się nieco od gniewu, ale w innym zupełnie charakterze, i dla tego nie mogłem widzieć wielu szczegółów. Ale w czasie mojéj bytności zaszedł jeden ciekawy wypadek.

— Co takiego? zapytała Łucja.

Naprawiali wtenczas starą basztę, któréj kamienie były porysowane napisami dat, imion, żalów i modlitw więźniów. Na jednym z narożnych kamieni wyryte były trzy litery ręką więźnia który zapewne miał być w krótce stracony, bo niewyraźnie i z pośpiechem były skreślone. Trudno było przeczytać i dopiero po długiem wpatrywaniu się doszli że te trzy litery są K.O.P.—Z razu sądzili że to są początkowe cyfry jakiegoś nazwiska, ale pomimo najściślejszych poszukiwań, o żadném podobném imieniu dowiedzieć się nie mogli, stanęło więc na tém że te trzy litery mają oznaczać jeden wyraz Kop. Sądząc że najprawdopodobniéj musiał więzień zagrzebać w ziemi dokument lub rzecz jaką, która może ważną odkryć tajemnicę, zaczęli w kierunku wskazanym kopać pod ziemią, ale nic więcéj nie znaleźli prócz kawałków po-

czernionego papieru i resztek skórzanego worka czy téż pudełka. Bez wątpienia musiał więźień pisać cóś na tym papierze, ale treść tego pozostała nazawsze tajemnicą dla wszystkich.

— Co ci jest mój ojcze? zawołała z przerażeniem Łucja.

Pan Manette uchwycił się rękami za głowę, a nagłe wzruszenie które w téj chwili malowało się na jego twarzy zatrwożyło wszystkich obecnych.

— Nie, moje kochanie, nic mi nie jest, wprawdzie zadrżałem nagle, bo kilka kropel deszczu spadło mi na głowę, pójdźmy lepiéj do pokoju.

W krótce wypogodziło się znów lice doktora, ale nie odpowiedział ani słowa na to co im Karol opowiadał. Kiedy wchodzili do mieszkania, deszcz padał już rzęsisty, a w pokojach było jeszcze parno i duszno. Wkrótce nadszedł Sydney Karton, a skoro wypili herbatę, całe towarzystwo zbliżyło się do otwartego okna, zkąd przypatrywali się pochmurnemu zachodowi słońca. Łucja usiadła obok ojca, a Darnay przy niéj, kiedy Karton wyglądał na ulicę oparłszy się na oknie. Firanki u okien były białe i długie, a kiedy wiatr zerwał się nagle i zakręcił niemi, rzekłbyś że poruszyły się skrzydła jakiegoś tajemniczego ducha.

— Deszcz pada ciągle ogromnemi kroplami, rzekł doktor Manette, burza zbliża się zwolna.

Ale pewnym krokiem, podchwycił Karton.

— Rozmawiali z sobą ciągle, ale tak cicho jak zazwyczaj mówią ludzie kiedy oczekują w ciemnym pokoju przyjścia burzy i gromów.

Przed oknami niebyło nikogo, ale echa domu odbijały wyraźnie stąpania na ulicy licznego tłumu, który uciekał w popłochu przed burzą.

—Tyle kroków ludzkich donosi do naszych uszów echo, chociaż nikogo nie widać dokoła, powiedział Darnay, podczas kiedy wszyscy przysłuchiwali się uważnie.

— Czyż to nie sprawia dziwnego wrażenia panie Darnay? zagadnęła Łucja. Czasem przesiadywałam w tém miejscu całe wieczory i przysłuchiwałam się echu, aż wkońcu wyobrażałam sobie.... ale nawet cień téj wyobraźni trwoży mię teraz, bo tak ciemno i tajemniczo jest dokoła.

— Może podzielemy twoją obawę pani. Czy nie dowiemy się jaki był powód téj trwogi?

— To d'a was marą wydawać się będzie, bo trwoga wynikająca bezpośrednio z naszéj wyobraźni nieudziela się nikomu. Siedziałam tutaj i przysłuchiwałam się nieraz wieczorem, aż wkońcu wyobrażałam sobie że kroki tych wszystkich którzy mają kiedyś stanąć na drodze naszego życia odbijają się w tém echu.

— Może przyjdzie dzień ten niedługo, kiedy tłum liczny i straszny stanie na drodze naszego życia, rzekł Karton ponuro.

— Echo odbijało coraz silniéj i żywiéj tysiące kroków, rzekłbyś że słychać pod oknami, to znów niby wpokoju, ci biegną naprzód, tamci uciekają, to znów zatrzymują się i cofają, a nie widać było nikogo, bo echa kroków z odległych dochodziły ulic.

— Powiedz panno Manette, czy te kroki zmierzają ku nam wszystkim, czy też ku każdemu z nas z osobna? zapytał Darnay.

— Nie wiem panie Darnay, powiedziałam ci już że w tém wszystkiém jest tylko gra mojéj wyobraźni, byłam wtenczas samotna i zadumana, więc przyszła mi dziwna myśl do głowy, że słyszę kroki ludzi którzy mają kiedyś zastąpić mnie i mojemu ojcu na drodze życia „Niech przyjdą i zastąpią mi drogę, jestem gotów na ich spotkanie", — rzekł Karton. „Oto ogromna tłuszcza leci na nas gromem, panno Manette, widzę ją już w błyskawicy". Ostatnie wyrazy dodał Karton spostrzegłszy ognistą wstęgę na niebie. „I słyszę ich" rzekł znów po chwili Sydney, kiedy huk piorunu rozległ się na około; „lecą już, a lecą żywo, wsciekli i straszliwi!"

Temi słowy tłomaczył Sydney Karton zbliżanie się burzy. Wrzeczy saméj deszcz lał się strumieniem, a tak straszna wkrótce rozszalała się burza, że do nocy słychać było bez ustanku łoskot i trzask piorunów, a całe niebo paliło się w łunie błyskawic.

Już wybiła pierwsza godzina, na wielkim zegarze świętego Pawła, kiedy pan Lorry wracał do domu, za nim szedł Jerry w ogromnych bótach i z latarnią.

— Straszną noc mieliśmy Jerry, jak gdyby umarli mieli powstać z grobów, rzekł pan Lorry.

— Dobranoc Kartonie!

— Dobranoc panie Darnay! Kto wie, może zobaczemy jeszcze taką okropną noc w naszém życiu.

V.

Pan Markiz wielki dygnitarz państwa i ułubieniec salonów, mieszkał po części w mieście, w jednym z najwspanialszych hotelów Paryża, a po części w dobrach swoich, gdzie miał pyszny i starożytny zamek. Pan Markiz utrzymywał dwór świetny w Paryżu, czterech lokai chodziło zawsze za nim, bo służba Markiza baczną była na każde jego skinienie. Pan Markiz tyle miał dobrego smaku i tak był wrażliwy że komedja i wielka opera, zajmowała go daleko więcéj niż tajemnice stanu i potrzeby całego kraju. Wpysznych salonach tego wielkiego dygnitarza państwa, zbierała się świetna rzesza, pomiędzy którą różne warstwy społeczeństwa reprezentowane były, można tu było widzieć wysokich urzędników, którzy nie mieli żadnego pojęcia o interesach kraju, wojskowych którzy byli przedstawicielami siły lądowéj i morskiéj, pomimo że nie znali wcale swego rzemiosła, nareszcie filózofów niedowiarków, którzy świat przerabiali słowami, lub budowali wieżę Babel, po któréj można było dojść wygodnie do samego nieba. Pan Markiz był wprawdzie od niedawnego czasu wniełasce u dworu, ale pomimo tego miał wielkie znaczenie w Paryżu, i pokoje jego były zazwyczaj pełne gości. Powóz wielkiego pana, znany był w całém mieście, kiedy jechał do teatru lub na jaką ucztę, kazał pędzić przez ulicę o ile konie wyskoczyć mogły, wprawdzie zpowodu téj pośpiesznéj jazdy zdarzały się nieraz wypadki, jakoż przed samym wyjazdem z Paryża do swego zamku miał on nie miłe zajście z pewnym człowiekiem, którego dziecko przejechały i potratowały jego konie. Ojciec zabitego dziecka zatrzymał konie, do czego dopomógł mu właściciel winnego handlu nazwiskiem Defarge, znakomity dygnitarz słysząc głos rozpaczliwy nieszczęśliwego ojca, uniósł się wspaniałomyślnością i rzucił jedną sztukę złota na ziemię, ale z wielkiém zgorszeniem Markiza jakaś osoba z tłumu rzuciła mu napowrót pieniądz do powozu.

Wkrótce po wspomnianém wydarzeniu wyjechał pan Markiz do dóbr swoich. Zamek jego był potężny i wspaniały, ogromne mury, bramy i drzwi ozdobione tam były wyobrażeniami kwiatów, urn, lwich głów i twarzy ludzkich.

Pan Markiz wysiadł z pojazdu i poszedł po ciemnych schodach, poprzedzony przez człowieka, który niósł w ręku latarnię. Ciszę nocną przerywał tylko krzyk sowy i szmer fontanny, która spadała na kamienie. Ogromne drzwi zaskrzypiały i zamknęły się za panem Markizem i przeszedł on przez ciemną wielką salę, na któréj ścianach pozawieszane były włócznie, miecz i myśliwskie noże, a także szpicruty i kańczugi, któremi pan w przystępie gniewu chłostał swoich poddanych.

Pan Markiz wszedł na korytarz, zkąd drzwi prowadziły do jego sypialnego pokoju i dwóch gabinetów. Pokoje były wysoko sklepione i przybrane z przepychem, odpowiednio godności Markiza i owych świetnych czasów; wszystko tu było według mody Ludwika XIV, nadto urozmaicały ten przepych, niektóre przedmioty wyobrażające pewne ustępy z dziejów Francji.

W jednym z trzech pokojów stał stół nakryty do wieczerzy dla dwóch osób. „Mówią że mój siostrzeniec jeszcze nie przybył“—rzekł pan Markiz. „Myśleliśmy że przybędzie razem z jaśnie wielmożnym panem. „Może nie nadjedzie wcale téj nocy, ale to nic nieszkodzi, niech nakrycie pozostanie na stole, za kwadrans przynieść mi wieczerzę“.

Kwadrans upłynął i przyniesiono wieczerzę a Markiz zasiadł sam do stołu, jego krzesło stało na przeciw okna, już spożył zupę i przykładał do ust szklanicę z winem, kiedy nagle odjął ją napowrót i postawił na stole. Co to się znaczy? zapytał spokojnie patrząc się pilnie ku stronie okna.

— Co takiego jaśnie wielmożny panie?

— Za oknem. Otwórz żaluzje!

— Otworzone

— Zobacz.

— Nic nie ma jaśnie wielmożny panie, noc ciemna wszędzie i drzewa tylko widać.

Sługa roztworzywszy żaluzje patrzał się przez chwil kilka w ciemną przed sobą

próżnię, potem odwrócił się twarzą do pana i oczekiwał na dalsze jego rozkazy.

„Dobrze“ rzekł znów spokojnie pan, „zamknij napowrót“.

Markiz znowu zaczął spożywać wieczerzę, ale przyłożywszy powtórnie do ust szklankę z winem, zerwał się nagle, bo zdało mu się że usłyszał turkot powozu. Wrzeczy saméj coraz wyraźniéj było słychać turkot, a wkońcu powóz zatrzymał się przed zamkiem.

„Zapytaj się, kto przyjechał?“

Gość który przybył w téj chwili był synowcem Markiza, a znany był w Anglji pod przybraném nazwiskiem Karola Darnaya. Markiz powitał go uprzejmie, ale nie podał mu ręki.

— Wyjechałeś pan wczoraj z Paryża? zapytał się gość Markiza siadając do stołu.

— Wczoraj, a pan?

— Ja wprost jadę.

— Z Londynu?

— Tak jest.

— Bardzo pan długo podróżujesz — rzekł Markiz z uśmiechem.

— Owszem, jadę w prost z Londynu.

— Przepraszam, niechciałem powiedzieć że podróż odbywał pan długo, ale raczéj że długi czas namyślasz się nad podróżą.

— Byłem zatrzymany z powodu... tu zahaczył się nagle synowiec i dodał dopiero po chwili, z powodu różnych interesów.

— Wierzę, rzekł uprzejmie stryj.

Dopóki sługa stał za niemi nie wymienili pomiędzy sobą ani jednego słowa. Kiedy lokaj podał im kawę i pozostali znów sam na sam, wtenczas synowiec spójrzał się na stryja, którego twarz była podobna zupełnie do pięknéj maski, poczem pierwszy rozpoczął rozmowę.

— Jak pan się domyślasz już może, powróciłem w zamiarze dokończenia zaczętego dzieła, wprawdzie byłem wystawiony na wielkie niebezpieczeństwo, ale mając na myśli tak świętą sprawę, niezadrżałbym nawet przed śmiercią.

— Nie masz potrzeby mówić o śmierci.

— Wiem że chociażby mi groziła śmierć nieochybna, nie myślałbyś stryju zasłaniać mię przed nią.

Twarz Markiza miała w téj chwili wyraz okrutny i złowieszczy, ale zaprotestował wdzięczném poruszeniem dłoni, które chociaż nic przekonywało o jego szczerości, jednak oznaczało człowieka dobrze wychowanego.

— O ile wiem mój panie, prędzéj postarałbyś się o pomówienie swiadczących przeciwko mnie okoliczności, niż byś miał zasłaniać mię od podejrzeń.

— O nie, nie, odrzekł stryj żartobliwie.

— Wszakże nie wątpię, mówił daléj synowiec, że gdyby to było w twojéj mocy, postarałbyś się mię zwrócić z drogi którą obrałem, i nie wahałbyś się dla dopięcia tego celu w wyboru środków.

— Ja ci to sam mówiłem mój przyjacielu, racz przypomnieć sobie tylko co ci sam powiedziałem w tym względzie.

— Przypominam sobie.

— Dzięki ci za to! rzekł Markiz dziwnie słodkim głosem.

— Najniezawodniéj, okoliczności które niedozwoliły mię zamknąć w Bastylji, o ile dla mnie są przyjazne, o tyle gniewały cię panie. *D. c. n.*

O UBIORACH.

Mimo że pora obecna dozwala jeszcze używać kapelusze słomkowe i włosiane, widzieliśmy w magazynie pani Adeli Hoffmanowéj, kilka ładnych jesiennych kapeluszy z czarnego *poult de soie*, przystrojonych w rozmaity sposób. Jeden z nich np. miał rzucik z czarnych aksamitnych okrągłych muszek, obwiedziony do koła białą pelą, na wierzchu ubrany był płaskim bukietem, w pośród którego białe fijołki tworzyły odznaczający się jasny wianeczek. Taki sam kwiat z białym również wianeczkiem, tworzył podpięcie po nad czołem. Szarfy były czarne broszowane biało, karczek pokryty czarną i białą blondynką. Widzieliśmy w tymże magazynie śliczne okrągłe czepeczki (a la paysanne), które lubo jednakiego niby kształtu,

różne były jednakże strojem. W ogóle nie miały wstążek, zdobiły je tylko koroneczki czarne i białe, oraz aksamitki. Podobał się nam czepeczek z końcami które spięte czarną koronkową rozetką, układały się u spodu twarzy, lub też do większego ubrania w tył zarzucone, spinały się u spodu warkocza. Nowe jesienne towary, nienadeszły jeszcze do magazynów naszych, sprawozdanie zatem o nowościach nie może być zbyt obszerne. U pani Włodkowskiéj widzieliśmy płaszczyki warte uwagi dla swéj tanności. Są one z dobréj czarnéj syberyny, ubrane mantyną i czarnym jedwabnym haftem, fasonu ogólnie dziś używanego, a kosztują po zł. 120. Nie zbyt dawno jeszcze, niepodobna było znaleźć u nas w téj cenie podobnego okrycia. Z tańszych materjałów wełnianych na zimowe futrzane salopy, widzieliśmy tak nazwany *stoff* na zł. 7 i gr. 15, oraz na 5 i gr. 15. Futro do podobnego wierzchu najstosowniejsze z lisów których błam u p. Gross na Kra. Przed. kosztuje zł. 333 gr. 10. Z tańszych kołnierzy oglądaliśmy w tym składzie piżmowcowe zwyczajne, od rs. 8 do 10, i ciemne, od 10 do 12, oraz duże kołnierze z całkiem czarnego futra po zł. 40. Nie wspominamy o kosztowniejszych futrach, oraz o wierzchach na nie, bo tych rodzaj i cena podobne jak w roku zeszłym. Forma salop jest również taż sama, fałdują je do koła i od karczku dają szerokie rękawy, pod spodem zaś przyczepione są rękawki wązkie, ściśnięte dla ciepła u ręki gumową tasiemką, przewleczoną między wierzchem a podszewką. Do składu pana Reichla przy ulicy Wierzbowéj nadeszły kompletne wyprawy dla maleńkich dzieci. Oglądaliśmy sukienki pół batystowe dla dzieci które noszą na rękach, od zł. 40 do stu, czapeczki żaknotowe i tiulowe ze wstaweczkami lub gładkie, od zł. 5 do dwóch rubli, buciki białe pikowe po zł. 8 i płaszczyki również pikowe czarno haftowane po zł. 80. Wszystkie te przedmioty można z łatwością w domu zrobić nabywszy je dla fasonu. W tymże składzie mają znaczny wybór krynolin różnego rodzaju. Włosiane popielate nawleczone stalką, kosztują po zł. 60 gr. 25, perkalowe białe lub popielate po zł. 33 gr. 10, lub 31 gr. 10, stosownie do długości, przezroczyste z samych stalek do kolan tylko pokrytych włosieniem, kosztują po zł. 53. Na suknie jesienne jak to już wspominaliśmy nie ma jeszcze nic nowego, oglądaliśmy tylko u p. Włodkowskiéj bardzo piękne materje z rodzaju zwanego *Varsovienne* broszowane biało na tle czarnym w cenie od zł. 333 do 400. — W magazynie p. Cronier przy ulicy Sto Krzyzkiéj zauważyliśmy ładne ranne czepeczki umiarkowanéj ceny. Jeden z nich okrągły, na wzór zamieszczonego na naszéj tablicy wzorów haftu i kroju N.5, był z cienkiego haftowanego muślinu otoczony również muślinowym garnirowaniem którego sam brzeg oszyty był wązkim brzeżkiem czarnéj koronki, drugi téjże saméj formy z białego tiulu w czarny rzucik, oszyty był tiulem gładkim, który miał u brzegu wąziutką czarną pelową frandzelkę i zakończony czarną kokardą. Pierwszy z tych czepeczków kosztował zł. 18 a drugi szesnaście. Widzieliśmy tamże jeszcze bardzo ładne na rano chusteczki (fanchon) białe muślinowe oszyte u brzegu ruszką z czarnéj materyi po zł. 15, i tańsze jeszcze ranne czepeczki dla osób starszych. — W magazynie p. Schlenkera oglądaliśmy piękny dobór płócien i bielizny stołowéj, który polecamy prenumeratorkom naszym. Płótna te pochodzą ze słynnych fabryk Bilefeldzkich w Westfalii, które mają tę wyższość nad Szlązkiemi, Irlandzkiemi i Belgijskiemi, że do wyrobów swoich czystego lnu używają, gdy tamte męszają doń bawełnę. Rozumie się samo z siebie że płótna lniane, a do tego nie na maszynie lecz ręcznie przędzone i na ręcznym wyrabiane warsztacie, przewyższają w trwałości wszelkie inne. Cena ich stosownie do gatunku wyrobu jest nader umiarkowaną i tak sztuka mająca 62 łokcie weby, szerokiéj półtora łokcia, ręcznéj roboty i przędziwa, kosztuje zł. 133 gr. 10, takież same sztuki cieńsze kosztują po zł. 150, 160, 180, 200, 220, 240, i stosunkowo coraz wyżéj aż do zł. 600 — w któréj to cenie jest płótno niezrównanéj piękności. Sztuki weby wyrabianéj i przędzonéj na maszynie mające również po 62 łokcie i również szerokie, dochodzą w cenie od zł.126, 130, 140, 150, do 500. Płótno tejże fabryki i ręcznéj roboty na prześcieradła, szerokie łokci dwa i pół, kosztuje po zł. 4 gr. 20 łokieć, cieńsze szerokości 3 łokcie zł. 6, 7, 7 i pół, jeszcze zaś cieńsze na zł. 8 i 9. Chustki do nosa mające jeden łokieć w kwadrat, tuzin po zł. 20, 26, 30, do 34 — większe zaś od zł. 24, 30, 36, 42, do 90. Ręczniki lniane od zł. 40 do 72 i najcieńsze wyrabiane w piękny deseń adamaszkowy od zł. 60 do 120. — Z bielizny stołowéj widzieliśmy piękne garnitury na osób sześć (serwety i obrus) na zł. 40, 42, 48, 53 i 60, oraz podobnież garnitury bielizny tak zwanéj holenderskiéj w bogaty adamaszkowy deseń od zł. 50 do 115. Garnitur na osób dwanaście kosztował od zł. 50 do 133 i od zł. 100 do 266. Garnitur na osób 18 od zł. 233. do 420, na osób 24 od zł. 260 do 360, i od 360, aż do 550. Serwetki małe deserowe tuzin od zł. 20 do 60. Serwety duże do kawy sztuka od zł. 24 do 60— takież żółte z białym, pąsowe lub szare po zł. 20, 24 i 30. Oglądaliśmy także serwety gdzie jedwab na podstawie nicianéj pięknie wydawał adamaszkowe desenie. Serwety te były w kolorze czysto białym i w tymże kolorze mieszanym z solferino, szafirowym, żółtym i szarym, cena takich serwet była od zł. 90 do 96, 108 i 112 a do nich tuzin małych serwetek po zł. 84.

Były także serwety do kawy tkane z tureckiéj przędzy pąsowe z białym po zł. 20 — tyleż kosztował tuzin zastosowanych do nich małych pąsowych serwetek. Oglądając to wszystko przyszło nam nie jednokrotnie na myśl, czemu niektóre nasze panie jeżdzą po wyprawy dla córek zagranicę? tem bardziéj że powszechnie już wiadomo jak wpodobnych wycieczkach koszta podróży równoważą ceny tamecznych a tutejszych towarów i jak cudzoziemcy częstokroć nadużywają dobréj wiary kupujących. Widzieliśmy jeszcze w magazynie p. Schlenkera pończochy angielskie bawełniane, tuzin od zł. 30 do 72, oraz niciane tak zwane *fil d'Ecosse*, nadzwyczaj mocne i cienkie od zł. 42 do 60. Szkarpetki męzkie były w rozmaitym rodzaju, szare, białe i kolorowe, kolorowe drukowane i haftowane na tle białém od zł. 45 do 60 tuzin. Gorsy do koszul męzkich z najpiękniejszego płótna, pięknie uszyte, były po zł. 9.Z wróciło także naszą uwagę płótno różowe na wsypki do poduszek, półtora łokcia szerokie, kosztowało po zł. 3 i gr. 10 łokieć. Wsypki takie mniéj kosztowne od jedwabnych a zastępują je doskonale. Zakończając dzisiejsze sprawozdanie o rzeczach ubioru, dodajemy jeszcze słów kilka do prenumeratorek, które życzą sobie aby im załatwjać sprawunki. Ponieważ zdarza nam się często odbierać pieniądze na sprawunki bez najmniejszego zaliczenia na koszta opakowania i przesyłki, które są nawet dość znaczne, jeżeli rzecz ma być wysłana do cesarstwa, upraszamy przeto, aby zawsze do pieniędzy przeznaczonych na sprawunek, dołączoną była pewna odpowiednia kwota, na pokrycie tychże kosztów. Osoby które postąpią w ten sposób, oszczędzą nam powtórnéj korrespondencji, a sobie przyśpieszą przesyłkę, w żadnym bowiem razie swemi pieniędzmi zastępować nie możemy, gdyż to by nam utrudniało rachunki. Jeżeli żądany sprawunek, ma być wysłany na którą stację w królestwie, wtedy można go na koszt odbierającego wyprawić, ale zawsze potrzeba kupić paczkę czy pudełko i obszyć je w płótno lub w ceratę, co najmniéj kilka zł. kosztuje.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Kaftanik muślinowy trzy, zakładki i wstaweczki z przodu, z obu stron oszyte koroneczką, środek spinany na guziczki kryte pliską.

Nr. 2. Koszula dzienna ze wstawkami, gors i rękawki oszyte koroneczką.

Nr. 3. Perkalowy ranny podwłośnik, (peignoir) kołnierz i rękawy oszyte falbaną z tego samego materjału.

Nr. 4. Czepek muślinowy ranny ze wstawkami,takaż falbanka fałdowana, u brzegu oszyta wąziuteńką koroneczką.

Nr. 5. Czepek muślinowy ranny, falbanka marszczona oszyta koroneczką.

Nr. 6. Szmizetka.

Nr. 7. Rękaw ubrany we wstaweczki oszyte koronką i podwleczone czarną wstążką z dwoma kokardami.

Nr. 8. 9. Kołnierzyk i mankiet płócienny z klapką wykładaną. Deseń ten wyszywa się ściegiem długim, przeciągając nitkę bawełny czarnéj, według oznaczonego rysunku, bawełnę sparzyć potrzeba przed użyciem, żeby późniéj w praniu nie puszczała.

Nr. 10. Róg do chustki od nosa, szerokiém dzierganiem.

Nr. 11. 12. 13. 14. Szlareczki do koszul.

Nr. 15 16. Imiona.

Nr. 17. 18. 19. 20. 21. 22 23. 24. 25. 26. cyfry.

Nr. 27. Kaftanik korcikowy z deseniem do wyszycia tasiemeczką-przód.

Nr. 28. Połowa pleców.

Nr. 29. Boczek.

Nr. 30. Połowa rękawa.

Nr. 31. Deseń do wyszycia tasiemeczką u dołu spodnicy.

Nr. 32. Ranny kaftanik żaknotowy. Przód i tył od ramienia układa się w drobne fałdki, te fałdki ujęte wpliskę, w kształcie na rysunku oznaczonym, kołnierz wykładany, rękawy szerokie, mankiet układany w fałdki ujęte pliską, przez środek rękawa falbanka żaknotowa, przód kaftanika, pliski, falbanka i kieszonki oszyte koroneczką.

Nr. 33. Koszula nocna marszczona od ramienia. Kołnierzyk, wykłady i klapka u rękawa, oszyte falbanką żaknotową haftowaną.

Nr. 34. Palka do nakrycia kielicha mszalnego. Na białéj materji haft atłaskowy, korona orzechowym kordonkiem, palmy pelą zieloną, drabinka kordonkiem czarnym, dyscyplina ciemną popielatą pelą, gąbka jasno orzechową, drzewo włóczni, dyscypliny i gąbki kordonkiem orzechowym, żelazo włóczni paciórkami stalowemi, krzyż sieczką białą. Wszystkie te godła męki otoczyć trzeba koralowym drzewem, promienie oka opatrzności haftują się złotem, litery hebrajskie w środku czarną pelą.

Nr. 35. Róg do chustki atłaskiem, muszki stębenkiem, dziurki przekałane, imie Antonina szerokiém dzierganiem.

Nr. 36. 37. Kołnierzyk i rękawki płócienne, ścieg długi przeciągany.

Nr. 38. 39. Wstawki stębenkiem i atłaskiem.

Nr. 40. 41. 42. Tarcze do cyfer.

Nr. 43. Lilja, aplikacjia muślinu na rzucik do firanek tiulowych.

Nr. 44. 45. 46. Cyfry.



Comp. le Catix

Moine Imp. r. St. Louis en l'Ile, 90. Paris

1014

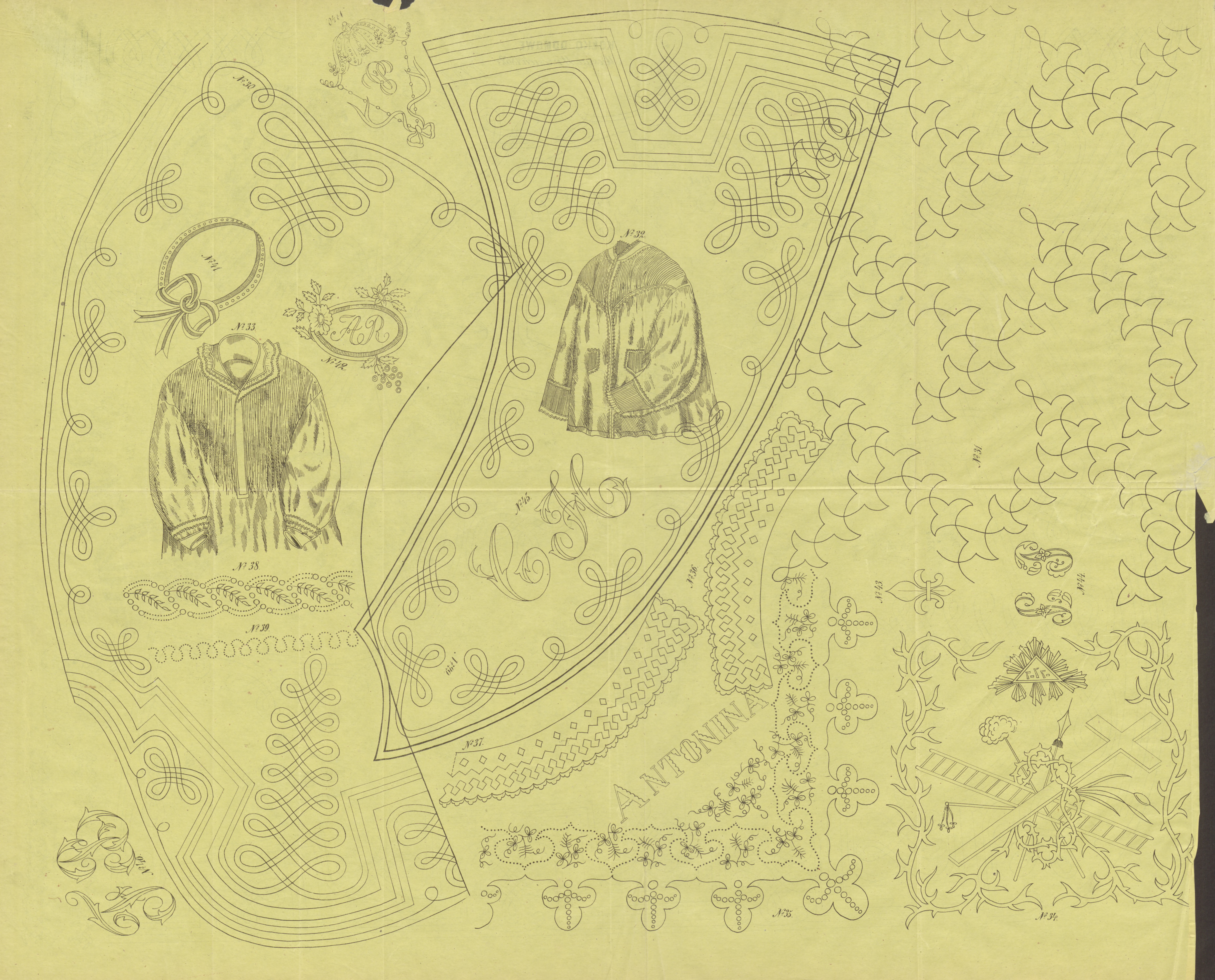
KÓŁKO DOMOWE

Septembre 1862

KÓŁKO DOMOWE.

Miesiąc Wrzesień 1862 r.





№ 30
№ 32
№ 33
№ 38
№ 39
№ 42
AR
№ 45
№ 36
№ 37
ANTONINA
№ 43
№ 44
№ 31
№ 35
№ 34